Ros. 1552/53/1-24

CENA 2 ZŁ

BIAŁYSTOK KIELCE LUBLIN RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 15.I.1966 Nr 1 (334) R. XXXIII • DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

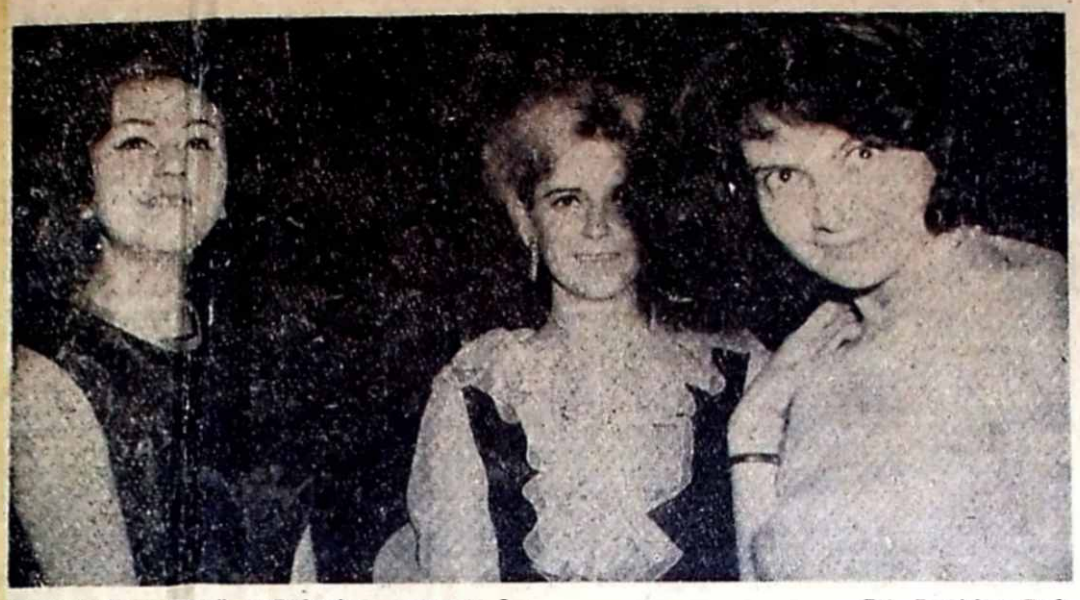

Studencki Teatr Poezji w Radomiu — patrz str. 5 *Fot. Bronisław Duda*

GARNKI I WODZIREJE

KILKA miesięcy temu byłem w niewielkiej wsi lubelskiej w celu zebrania materiału do reportażu. Wieczorem poszedłem do remizy strażackiej, w której zainstalowało się kino objazdowe. Film okazał się tak nudny, że tylko głośny terkot projektora urozmaicał seans.

— E... lipa! — odezwał się chłopak [illegible] my lepiej do klubu. Wstał, a za nim kilku rówieśników.

Wtedy właśnie przypomniałem sobie pewien obrazek, zatarty nieco dziesięcioletnią odległością, ale wciąż jeszcze czytelny: obskurna świetlica PGR wypełniona ludźmi w kufajkach, rwąca się co chwila taśma filmowa, zatarte napisy i zdeformowany dźwięk, operator — pan i władca z „Wzniosłym" w zębach, a przy tym wielka cierpliwość widzów połączona z radością uczestniczenia w „kulturze". Nie mieliśmy wówczas wyboru: chcąc nie chcąc musieliśmy tam siedzieć, bo nawet od knajpy dzieliło nas 7 km, a na samogon nie mogliśmy już patrzeć.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

Ta konfrontacja dwóch odległych zdarzeń o częściowo tylko podobnych realiach wbiega swoim znaczeniem daleko poza ilustrację rozwoju form upowszechniania kultury na wsi, bowiem mówi o dzisiejszej możliwości wyboru: pomiędzy lepszym, a gorszym. Mieszkaniec wsi coraz częściej przekonuje się, że „lepsze" to inaczej „nowoczesne". Natomiast „dotychczasowe", choć budzi jeszcze zaufanie bo przecież sprawdzone przez ojca i dziadka, zalecane głosem z ambony, to jednak kojarzy się coraz częściej z „gorszym". Szczególnie w świadomości młodzieży, o czym zresztą przekonałem się słuchając obrad V Wojewódzkiego Zjazdu Związku Młodzieży Wiejskiej, które toczyły się 11 i 12 grudnia ub. r. w Lublinie.

Była to rzeczywiście gospodarska narada. Mówiono konkretnie, „prosto z mostu", nierzadko dowcipnie, najczęściej z pasją i w przekonaniu o słuszności swoich racji naszpikowanych faktami. To także wymowne. Podobnie, jak ciągłe podkreślanie tego wszystkiego, co wymaga jeszcze naprawy. Dominowały sprawy gospodarcze i ideowo-wychowawcze. zwracano uwagę na fakt, że młody rolnik, to nie tylko dobry gospodarz, ale jednocześnie człowiek aktywnie zaangażowany w realizację, polityki rolnej partii człowiek moralny i kulturalny. Dlatego tak dużo czasu poświęcono oświacie rolniczej.

Szkolenie rolnicze jest dzisiaj naturalnym ruchem społecznym wsi, ciągle potęgującym się i rozbudowującym swoją bazę materialną dzięki wysiłkom Związku Młodzieży Wiejskiej, resortu oświaty i kółek rolniczych. W 1400 zespołach i 260 szkołach przysposobienia rolniczego kształci się łącznie 22 tysiące młodych rolników. Tak jest obecnie, a przecież jeszcze niedawno szkoły te nie cieszyły się zaufaniem chłopskich rodziców, według których krótki okres nauki nie gwarantował rzeczywistego i wysokiego statusu zawodowego. Opinia ta zmieniła się z chwilą przejścia SPR na program zawodowych szkół rolniczych trzyletnich. Wieś otrzymała zapewnienie o stałości i pewności, potwierdzenie stabilizacji.

Nie tak łatwo i szybko zmienia się jednak tradycję. Oto młody chłopak, oczytany i zorientowany znacznie lepiej od ojca w nowoczesnych metodach uprawy ziemi, próbuje je zastosować w ojcowskim gospodarstwie. Rodzic węszy w tym zamach na swój autorytet, sprzeciwia się. Sytuacja powtarza się kilkakrotnie, aż młody opuszcza wieś, wyjeżdża do miasta (łatwiej, ciężej [illegible] gospodarka powoli upada.

Na przekór trudnościom wzrasta autorytet młodego działacza wiejskiego. W rezultacie, w czasie wyborów do Sejmu i rad narodowych 1.200 ZMW-owców otrzymało mandaty zaufania. I tu co prawda nie obyło się bez oporu ludzi o tradycyjnej mentalności. Kiedy w pewnej wsi organizacja wysunęła kandydaturę dziewczyny, starsi gromko krzyknęli: „Do garnków, a nie do polityki!". Niemniej w całokształcie działalności ZMW coraz aktywniej uczestniczą dziewczęta, stanowiące ok. 40 procent liczby członków. Przygotowanie zawodowe i wiedza ogólna, to podstawy rosnącego autorytetu ZMW, organizacji, od której w znacznym stopniu zależy przyszłość wsi. „Młody" przestaje się kojarzyć z „głupi".

Obok szkolnictwa rolniczego omawiano szeroko problemy pracy ideowo-wychowawczej. Zwracając uwagę na niewątpliwe osiągnięcia w tej dziedzinie, postulowano jednocześnie objęcie szkoleniem wszystkich członków ZMW poprzez organizowanie powszechnych zebrań szkoleniowych w szkołach, wiejskich kursów oświatowo-politycznych i kursów aktywu gromadzkiego oraz zapewnienie im właściwej pomocy, by coraz skuteczniej skłaniały one członków do samodzielnego dyskutowania i wyjaśniania sobie problemów politycznych i gospodarczych wsi i kraju. Właśnie — s a m o d z i e l n e g o. W tym jednym słowie mieści się jeszcze jeden ważny moment kształtowania nowoczesnego człowieka wsi, zdolnego do podejmowania odpowiedzialnych decyzji, posiadającego zmysł krytyczny i zdolność orientacji politycznej. Że orientacja ta wyznaczana jest ideologią socjalistyczną, najlepiej przekonują takie liczby: w ostatnich dwu latach do PZPR wstąpiło 4.805 członków ZMW, a do ZSL — 1.568. Dodajmy też, że wartość czynów społecznych zrealizowanych dla uczczenia XX-lecia Polski Ludowej wynosi ponad 7 milionów zł.

Kultura na wsi, temat — worek bez dna dla reportera, papierek lakmusowy zmian w świadomości ludzkiej. Mówiono o niej różnie, ale w wypowiedziach dyskutantów przewijała się ciągle jedna myśl: nie wystarcza samo udostępnianie kul-

(Dokończenie na str. 2)

ZDZISŁAW POPOWSKI

Pochwała rymu

Jesteś jak dłoń podana dłoni,
a usta ustom w czas miłości.
Nazwałbym ciebie
freskiem mowy
i wieloechem śpiewnej zgłoski.

Rzeźbił cię Homer i Horacy,
a Kochanowski pieścił czule.
Po twoich śladach
szedł Słowacki
i serce oddał Julian Tuwim.

Klejnotem każda twoja klamra,
w snycerskiej tylko żyjesz ręce...
Raz jesteś nutą, a raz gamą
lub wielostrunnym
instrumentem.

Kłaniają ci się w pas, do kolan —
szeregi wersów, strof kwietniki,
bo w pocałunku każdy sonet
napełniasz blaskiem
pełnokrwistym.

Liryczny żywioł w twym uścisku
nie niszczy brzegów,
pól uprawnych...
Wyrasta kształtem poetyckim
i wszystkim stylom
pomnik stawia.

Dlatego głoszę twoją chwałę —
w małym kramiku
marzeń własnych,
na przekór wszystkim
awangardom,
którym zabrakło twego światła.

Spuścizna Żeromskiego

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Andrzejowi Kijowskiemu

PRZYSŁUCHIWAŁEM się rozważaniom na pewnej konferencji poświęconej rocznicy Żeromskiego. Wysłuchałem zarzutów, że nie ma konstrukcji, że jest dyletant, egocentryk, że niepotrzebnie robi się z niego na siłę społecznika, że dla młodzieży jest to mumia literacka, że erotyzm jego jest naiwny, bohaterowie wzorcowi.

Znamienne, że zarzuty te padały z ust wielbicieli. Tak walczyli z Żeromskim, jak Anioł z Jakubem, któremu wzbraniał wspinania się po drabinie do nieba (panteonu). Jest na ten temat biblijny obraz Delacroix — na twarzach walczących maluje się miłość ku sobie.

Myślę, że tę miłość, która kocha przez odpychanie — należy uporządkować.

Nie mam tytułu do mówienia o Żeromskim jako krytyk literacki, bo nim nie jestem.

Ani nawet jako czytelnik — bo mój Żeromski to lektura kilkunastolatka i pierwszych lat uniwersyteckich.

Jedyny mój mandat do mówienia o Żeromskim, to przynależność do pokolenia, dla którego Żeromski był chlebem powszednim, a nie zagadnieniem literackim.

* * *

Zacznijmy od zagadnienia formy, która w moim rozumieniu jest tak samo ważną manifestacją ideologiczną, jak treść, w której zawierają się przemyślenia i przeżycia pisarza.

Żeromski rozwiany, nieskoordynowany? Formalnie biorąc — tak. To nie jest epik.

Ale jego konstrukcja jest nieprzypadkowym spadkiem z wielkiego dziedzictwa sobiepańskiej rdzennie polskiej gawędy, naległej na kulturze rustycznej, podmiotowej.

Jeśli Żeromski nagle pozwala sobie na sto stron opowiadania o romansie z Heleną w górach — ni przypiął ni przyłatał — to nagle te sto stron daje zmianę klimatu, po czym percepcja czytelnika tym ostrzej rzutuje na księcia Giedroycia i inne ważne sprawy.

Brak konstrukcji? — Podawano tu jako podbudowę tego zarzutu „Wiatr od morza", gdzie poszczególne opowiadania są połączone niezmiernie słabym wątkiem — pretekstem. Szczytem takiego znowuż gawędziarskiego „ni przypiął ni przylatał" ma być opowiadanie o miłości pruskiego oficera i o łodzi podwodnej — nie mających nic wspólnego z tą ziemią.

Ale weźmy, chociażby, scenę, gdzie stary, zniedołężniały wojewoda słowiański, ujrzawszy przybyłych Niemców, nakłada zbroję i występuje przeciw rosłym knechtom, którzy z rechotem rozdeptują go obcasami. Czyż nie przeciwstawieniem temu romantyzmowi jest Smętek w nieposzlakowanie skrojonym ubraniu, przenoszący swoje kalkulacje za morza i ten oficer — zimny techniczny umysł, kiedy jest — poza uniesieniami — na służbie?

Żeby już skończyć z zarzutami formalnymi. Dyletantyzm?

Jeśli porównać Sienkiewicza z Żeromskim, to Sienkiewicz jest wielki rozrzutny pan — a Żeromski ciułacz. Jeśli pan Andrzej ma taką nie inną misternę, podrzuca tak a nie inaczej obuszek, a Pacunelki śpiewają taką a nie inną piosenkę — to posuwamy się z Sienkiewiczem od Środy do Piątku, od Piątku do Soboty czy tam innych tych miejscowości i jesteśmy pewni, że on tam z tymi ludźmi był, że na pewno tę Rzędzianową terlicę widział, że to go nie kosztowało żadnych poszukiwań, że spór Rzędzianów o gruszę na miedzy był mu bezpośrednio przez nich opowiedziany, a nie wzięty z jakichś fiszek Kubali. Jeśli weźmiemy drobiazgowe wyliczanie przez Żeromskiego sprzętu rybackiego, albo rzemiosła bartnego — to fiszki sterczą na wszystkie strony jak słoma z siennika. Zabraknie fiszki — i już gotowa wpadka faktologiczna.

Ale cóż to ma za znaczenie? Tematyka Żeromskiego — to łuk napęty między kołkami zamocowującymi. Przychodzi ktoś nagle z rewelacją: i ten kołek i ten i tamten — były zupełnie inne. Wtedy powiadamy erudycie: „proszę nie przeszkadzać — patrzymy na tęczę".

(Dalszy ciąg na str. 4)

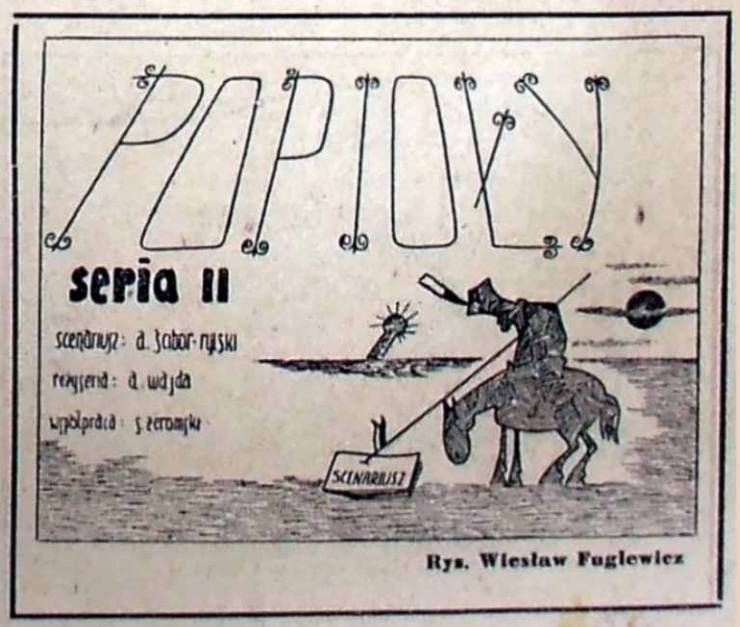

Rys. Wiesław Fuglewicz

JEDNOMYŚLNA OCENA

W polityce nie ma miejsca na znachorów

„...Nie bierzcie nam, Drodzy Bracia niemieccy, za złe wyliczenie tego, co wydarzyło się w ostatnim odcinku naszej tysiącletniej historii. Ma to być nie tyle oskarżenie, co raczej nasze własne usprawiedliwienie!"

„...Wyciągamy do Was nasze dłonie z ław kończącego się Soboru, przebaczamy i prosimy o przebaczenie. Jeśli Wy — biskupi niemieccy i ojcowie Soboru — ujmiecie po bratersku nasze wyciągnięte dłonie, wówczas dopiero będziemy mogli z czystym sumieniem obchodzić w Polsce nasze Millenium na sposób całkowicie chrześcijański. Zapraszamy Was po to serdecznie do Polski".

„Z „Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusie".

„... Biskupi polscy, występując ze swoim „Orędziem" do biskupów niemieckich, samowolnie wkroczyli w dziedzinę polityki zagranicznej, która nie ma nic wspólnego z religijną misją kościoła. Kto upoważnił biskupów do przemawiania w sprawach polityki zagranicznej, w najżywotniejszych sprawach narodu i państwa polskiego bez porozumienia i uzgodnienia z rządem polskim — a w porozumieniu i uzgodnieniu z biskupami niemieckimi i prałatami z Watykanu? W czyim imieniu występują biskupi ze stanowiskiem sprzecznym z opinią całego społeczeństwa i z interesami kraju? To pewne, że w naszej ludowej Rzeczypospolitej przywróconej do niepodległego bytu walką i ofiarą najlepszych jej synów — na sobiepaństwo miejsca nie ma i nie będzie".

„Życie Warszawy"

„... Nie można tego, niestety, inaczej określić, jak niedostrzeżeniem skutków politycznych orędzia i pominięciem obowiązującego prawa międzynarodowego, jakim jest umowa poczdamska, kiedy biskupi polscy stwierdzają w swym orędziu, że przesiedlenie ludności niemieckiej, pozostałej jeszcze na naszych ziemiach zachodnich, dokonało się *„na rozkaz alianckich zwycięzców"*. Otóż dokonało się ono nie *„na rozkaz alianckich zwycięzców"* ale w wykonaniu umowy poczdamskiej, zawartej po bezwarunkowej kapitulacji hitlerowskiej Rzeszy. ...Na postanowienia umowy poczdamskiej złożyła się zaś nie tylko wola koalicji zwycięskich mocarstw, ale także aktywność naszego odrodzonego państwa i heroiczny wysiłek naszego narodu, który na wszystkich frontach drugiej wojny światowej i w walce podziemnej złożył hekatombę krwi i ofiar po to, aby Polska odrodziła się w swych piastowskich granicach. Z tej walki wyszliśmy boleśnie wykrwawieni, to prawda, ale jako państwo zwycięskie. Jest więc dla nas w najwyższym stopniu ubolewania godne, kiedy w orędziu znajdujemy zdania: *„byliśmy wszyscy bezradni i bezsilni"*, wyszliśmy z wojny *„nie jako państwo zwycięskie"*.

„Słowo Powszechne"

„... Kanclerz Erhard w znanym przemówieniu w 25 rocznicę wybuchu wojny wyraził gotowość pojednania z Polską i... wybaczenia doznanych od niej krzywd. Ale nawet on wybaczał z góry. Oszczędzał nam łaskawie tego, byśmy w 20 lat po wojnie prosili jeszcze o przebaczenie. Czego? Ze nas III Rzesza najechała, że wymordowała piątą część narodu i że pozostawiła nasz kraj w ruinach, żałobie, na progu śmiertelnego upływu krwi. Sądził widać, że takiej prowokacji nie przełknie już nikt z Polaków. W trzy miesiące potem dostojne grono 36 polskich biskupów z prymasem na czele poszło dalej. W publicznym Orędziu prosi właśnie niemieckich biskupów, by naród niemiecki nam, Polakom, wybaczył!"

„Trybuna Ludu"

„...W historii naszego narodu były już takie momenty, w których katolicka hierarchia kościelna wypowiadała się i działała wbrew interesom ludu polskiego. Nie miejsce tu na szerokie przypomnienie tych faktów. Wystarczy jedynie przypomnieć jednomyślnie negatywne stanowisko kościelnych hierarchów przeciwko Uniwersałowi Połanieckiemu — który niósł polityczne prawa chłopom, wystarczy przypomnieć stosunek biskupów do rodzącego się samodzielnego ruchu chłopskiego, ekskomuniki i zakazy rzucane z ambon na ludowych działaczy chłopskich i młodzieżowych, wystarczy przypomnieć listy pasterskie biskupów Kaczmarka i Lorka, nawołujące wiernych do posłuszeństwa okupantowi hitlerowskiemu i do wyjazdu ochotniczo na przymusowe roboty do Rzeszy, stosunek do reformy rolnej, do przemian społecznych zachodzących w Polsce. Na wsi polskiej po wrześniowych uroczystościach wrocławskich u dużej części chłopów rodziło się przeświadczenie, że katolicki kler w Polsce, w tych najżywotniejszych dla naszego narodu sprawach, zajął stanowisko zgodne z wyrokami sprawiedliwości dziejowej, zgodne z interesami całego narodu. Tak się jednak nie stało".

„Dziennik Ludowy"

„... Nie nasi biskupi, lecz Hitler i jego moralni spadkobiercy, których w NRF nie brak — powinni błagać niemieckich biskupów i naród niemiecki o przebaczenie. Możemy się tylko dziwić, że nasz Episkopat usiłuje ich w tym wyręczyć, bowiem nawet chrześcijańska pokora ma swoje granice. Oczywiście u ludzi, którzy nie zatracili swej godności narodowej.

Leży przede mną numer „Deutsche National-Zeitung" z 17 grudnia, całkowicie poświęcony sprawie „orędzia". Muszę się wstydzić za polskich biskupów, że swym wystąpieniem dali arsenał argumentów najbardziej naszej ojczyźnie wrogim kołom w NRF. Okazuje się, że „polskie przyznanie się do winy wobec Niemców" zostało w tym piśmie zilustrowane kilkoma artykułami (np. „W polskich obozach koncentracyjnych szalała śmierć", „Polacy nie znali litości") bogato ozdobionych fotografiami... masowych grobów z rzekomymi ofiarami naszych zbrodni. Oto do jakiego ślepego zaułka zaprowadziły polski Episkopat brak odpowiedzialności i polityczna ślepota. I nie z ambon naszych kościołów należy się tłumaczyć z tego kroku, lecz właśnie w NRF trzeba odciąć się od podobnych fałszerstw, których poparciem stało się „orędzie".

„Głos Szczeciński"

„... W polityce nie ma miejsca na znachorów. Podobnie jak w medycynie znachorstwo podlega tutaj kwalifikacjom moralnym... Przy naszych racjach moralnych trzyma straż nie tylko 30-milionowy żywy i twórczy naród, trzyma ją i pamięć 6 milionów pomordowanych. Jeśli w ich imieniu ktoś waży się powiedzieć „przebaczamy", to waży się na wiele, jeśli zaś w ich imieniu „prosi o przebaczenie", to przebrał miary ocen moralnych i wszedł na grzęzawisko. I chyba pogrąża się na naszych oczach pragnąc pociągnąć za sobą polską rację stanu".

„Kultura"

„... Nie wykazali mądrości politycznej, rozwagi i dojrzałości polscy biskupi. Niczego ich nie nauczyło ostatnie dwudziestopięciolecie. Niechaj więc nie liczą na pobłażliwość i wyrozumiałość ze strony polskiej opinii publicznej".

„Polityka"

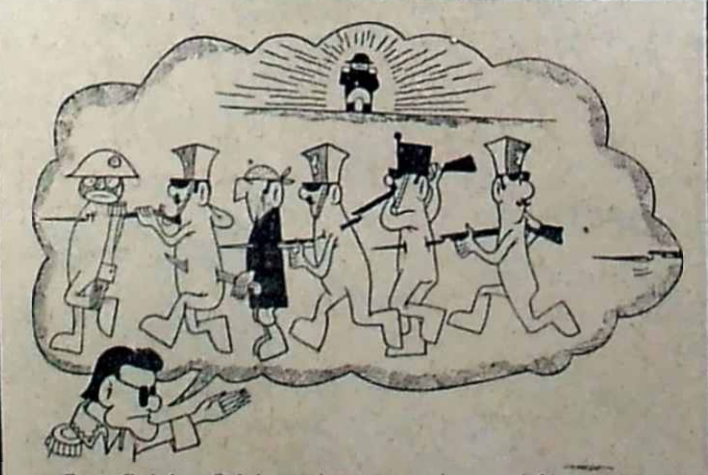

Dom Cedrów. Żołnierz nieznany snuje opowieść o dziejach oręża naszego. Olbromski i Cedro wyruszają na bój.

GARNKI I WODZIREJE

(Dokończenie ze str. 1)

tury. Nawet świetnie wyposażony klub „Ruchu", czy „Rolnika" nie spełni swojego zadania — pobudzenia życia intelektualnego młodzieży, przyswojenia nowych nawyków i wzorców kulturowych — bez ofiarnych i dobrze przygotowanych działaczy społecznych. Błędem jest organizowanie społecznych rad klubowych w postaci „przedstawicielstw" (GS, GRN itp.) przy pominięciu działaczy z prawdziwego zdarzenia. Wiadomo powszechnie, że wiele klubów zajmuje się wyłącznie drobnym handelkiem, sprzedażą kawy, ciastek i prasy. I na tym terenie dochodzi także do konfrontacji starej obyczajowości z nowymi w swej treści wysiłkami młodzieży. Zdarza się tu i ówdzie, że starsi traktują klub jako jeszcze jedno wygodne miejsce do wypicia „ćwiartki" i pogrania w karty. Zalecenia Zjazdu, m. in. konkurs na najlepszy klub wiejski w r. 1966, przyczynią się chyba do właściwego wykorzystania pomieszczeń klubowych. Jest zresztą wiele klubów, które pracują tak, jak należy.

Zjazd wyznaczył cztery zasadnicze kierunki działalności Związku w zakresie kultury i warto je tu zacytować. Chodzi więc o właściwe dobieranie treści kulturowych i czynne upowszechnianie ich w środowisku, o inspirowanie i organizowanie udziału młodzieży w kontaktach ze środowiskami twórczymi („Wieś bliżej teatru", „1000 spotkań z pisarzami"), o rozwijanie kultury życia codziennego i pracy, o wzbogacanie bazy materialnej placówek kulturalnych. Szczególną wagę przekłada się do książki, jako podstawowego środka wychowawczego bogacącego przy tym wiedzę i przeżycia estetyczne.

W ciągu dwóch dni słuchałem sprawozdań, w których sukcesy mieszały się z brakami. Zaskoczyły mnie te o[...]le ponieważ mówiły o niedosta[...]nej jeszcze popularyzacji poezji [...]zpoczyna się organizowanie kl[...]w poezji na wsi), [...] konieczności [...]erszego rozwoju turystyki (LZ[...]ają 40.198 członków na ogólną l[...]bę 240 tysięcy młodzieży wiejs[...]). Wielu delegatów zwracało uwa[...] na potrzebę większej pomocy [...]e strony związków twórczych i o[...]ganizacji kulturalno-oświatowych, takich, jak ZPAP, SDP, ZNP, SAIW, TRZZ i in.; dotychczas najlepiej pracują uniwersytety powszechne TWP, w tym i młodzieżowych. Mówiono też, że najwyższy już czas skończyć ze złą tradycją zabaw wiejskich, proponowano przy tym ustalenie planu szkolenia organizatorów — wodzirejów zabaw! Jednym słowem — rozważano środki i metody prowadzące do osiągnięcia nowoczesnego standardu życia który tylko specyfiką produkcji byłby odmienny od miejskiego. Rzecz charakterystyczna: wiadomo, że Związek Młodzieży Wiejskiej ma na swym koncie szereg konkretnych, widocznych w każdej nieomal wsi osiągnięć, obok już wymienionych może pochwalić się świetnym Uniwersytetem Technicznym w Gardzienicach, poważnym udziałem w „Zmianie oblicza wsi lubelskiej" i liczbą 63 tys. członków, którą planuje powiększyć do 80 tysięcy. Ale ambicje ZMW są znacznie większe i stąd analiza braków, zalecenia i postulaty mające na celu wyższy poziom życia. Stąd też kompleksowe traktowanie problemów wsi.

I znów przypomina się obrazek sprzed lat dziesięciu. rwąca się taśma filmowa, tłok, zaduch, a w perspektywie najwyżej gospoda. Okazuje się, że w perspektywie dzisiejszej znalazły się inne wartości i inne ambicje.

Ireneusz J. Kamiński

przegląd PRASY

SPRAWA dla publicysty i reportera niebagatelna: jaki jest skutek jego pisania, czy wydrukowanie reportażu typu interwencyjnego trafi, tam gdzie trzeba i wywoła określony społeczny skutek? Czy też adresat pozostanie głuchy i obojętny, sprawy pójdą swoim normalnym torem? Jeden z czołowych reportażystów daje odpowiedź dosyć mało pocieszającą: skutki nie są rzeczywiście takie, na jakie autor reportażu liczy. Ale Zbigniew Kwiatkowski, bo o nim właśnie mowa, w artykule *Ściana płaczu czyli o nieskutecznym rad sposobie* („Życie Literackie") nie opiera się tylko na własnym doświadczeniu, ale na wynikach badań socjologicznych. W zasadzie adresaci krytyki zgadzają się z nią, sprzeciw jest o wiele rzadszy. Ale okazuje się, że owo t a k lub n i e nie zależą od tego, czy reporter miał rację czy nie, bądź od rodzaju argumentów, lecz od stopnia anonimowości krytyki: „im dokładniej zaadresowana, im łatwiejszy do rozszyfrowania jest człowiek czy urząd, tym opór przeciwko krytyce ostrzejszy".

A co do skuteczności krytyki: „Nieraz — nie jeden raz niestety, żegna się „wybronionego" człowieka z uczuciem wstydu: wiadomo, co się z nim stanie w chwili, w której znikną osłaniające go skrzydła prasy... Ja znam to uczucie — jedno z najobrzydliwszych — bezsilności ludzi stojących pod ścianą płaczu. Oderwie z niej — dziennikarz, reporter, publicysta — jedną czy dwie cegły, ale nigdy nie ma pewności, na czyją głowę te rozluźnione, te wyrwane, spadną..."

• • •

Przed paru laty drukowała „Polityka" reportaż o Kazimierzy Wielkiej, mieście powiatowym Kielecczyzny. Bohaterem głównym był nowy sekretarz KP partii, sekretarz nietypowy. Po paru latach poszli tym tropem S. Kozicki i T. Jaworski. Okazało się, że wyniki jego pracy w Kazimierzy są też nietypowe. Umiał wyzwolić poczucie gospodarności wśród mieszkańców i wpoić przekonanie o współodpowiedzialności za warunki, w jakich się żyje. To brzmi górnie i abstrakcyjnie. Ale wyniki są konkretne: chodniki, kwietniki, czystość, siatki zamiast płotów. Sekretarz jest tam, gdzie trzeba, jest zwykłym człowiekiem. Nie jada w milicyjnym konsumie, mieszka w małej kawalerce czynszowego starego domu, jest stałym bywalcem Domu Kultury. Korzysta z tego, co zwykły obywatel. Ale poza tym ma własne zdanie. Na pytanie, kto bierze odpowiedzialność? odpowiada: ja! A sukcesy pochodzą stąd, że sekretarz Darol umie ludziom Kazimierzy Wielkiej sprawy tłumaczyć na zwykły konkret: „Socjalizm (...) to każda nowa ściana, każda nowa płyta chodnika, nowy płot, czyste obejście; to dodatkowy kwintal pszenicy, to nawet ta druga kwoka, którą gospodyni obok pierwszej na jajkach posadzi. Socjalizm można dotknąć, sprawdzić, spróbować".

• • •

A oto jeszcze ciekawsze pozycje świątecznej prasy:

W „Forum" teksty głośnego listu Episkopatu polskiego do niemieckiego oraz odpowiedź biskupów niemieckich.

W Kulturze — esej J. Z. Słojewskiego o F. Mauriacu.

W „Przekroju" — Jan Kalkowski pisze ciekawe rzeczy o winie, zaś Anatol Puciłowski przekazuje godne uwagi *Rady dla amatorów emigracji* (aktualne szczególnie dla potencjalnych żon dla Australijczyka).

W noworocznym „Sztandarze Ludu" znajdujemy interesujące wywiady z sekretarzami KW PZPR w Lublinie.

I na koniec chciałbym wspomnieć o grudniowym numerze „Nowych Dróg", który przynosi materiały dyskusji, jaką zorganizowały nad książką A. Schaffa *Marksizm a jednostka ludzka* Wydział Kultury i Oświaty KC i redakcja „Nowych Dróg". Materiały te zajmują 1[...] stron druku, [...] bogate treści, dotyczące teorii i praktyki socjalizmu. Główny przedmiot dyskusji stanowi pojęcie i znaczenie alienacji w warunkach socjalizmu. W dyskusji, — żywej, szczerej i pogłębionej — zabierają głos m. in.: A. Werblan, W. Krasko, J. Wiatr, S. Żółkiewski, B. Baczko, A. Starewicz, W. Sokorski i Z. Kliszko.

Lektura bardzo frapująca.

T. K.

Przyjaciele z Debreczyna

SAMA nazwa „Debreczyn" brzmi jakoś bardzo swojsko i blisko. Gdyby miasto o tej nazwie znalazło się gdzieś w Kieleckiem, lub Lubelskiem, uznalibyśmy tę nazwę za „arcypolską", wywodząc ją etymologicznie bardzo prosto: od debra, debrza...

Czyżbym więc sugerował, że Debreczyn był kiedyś miejscowością ... polską? Skądże! Polskiego osadnictwa nigdy w tym regionie nie było, nawet w czasach, gdy zacnym Madziarom panował nasz Władysław Warneńczyk... Jakże więc wyjaśnić liczne w tym regionie nazwy o brzmieniu wybitnie słowiańskim? Rzeki nazywają się: Krasna, Toplica, Bystrica. Góry noszą nazwy: Krasno, Łopuszna. Miasteczka — Stalislau, Kralewo, Wyszkowo, a a wsie: Dombo, Dombród itp.

Wyjaśnienie tej „słowiańskiej egzotyki" jest proste: nazwy są stare, wywodzące się z czasów, gdy wschodnią Panonię i Siedmiogród zamieszkiwały ludy słowiańskie — starożytni Antowie. Taką etymologię ma też niewątpliwie Debreczyn (ściśle — Debreczen).

Ale przecież nie o etymologię tu chodzi. Mój list nawiązuje do artykuliku w jednym z numerów „Kameny" o żywych kontaktach Lublina z Debreczynem. Trzeba to koniecznie uzupełnić, co też czuję się w obowiązku uczynić, podkreślając mocno, że sympatie propolskie są w Debreczynie nie od dziś i nie od wczoraj.

Dwa historyczne zdarzenia niechże posłużą za ilustrację tej prawdy: zdarzenie pierwsze z przełomu lutego i marca 1918 roku, gdy niedobitki drugiej brygady Legionów skrwawione ciężko pod Rarańczą w bitwie z Austriakami dostały się do niewoli. Ulokowano nas w barakach jenieckich, otoczonych drutami kolczastymi niczym niemieckie lagry w czasach Hitlera: w Saldoboszu, Dulfalwie, Chuszt i in.

Nam, zakwaterowanym w Saldoboszu, przydzielono jako straż — Węgrów, pochodzących z garnizonu debreczyńskiego... Przez kilka dni regulamin obozowy jest b. ostry. Pewnego jednak ranka dziwimy się, że straż nie daje znaku życia. Nie słychać kroków wartowników, ani pod oknami baraków, ani pod drzwiami. Ostrożnie wychodzimy z baraków, aby się przekonać, że strażników ani śladu. Zamiast nich stoją pod ścianami karabiny, z bagnetami, na które nadziane są kartki papieru z napisami: „Nie będziemy żandarmami braci Polaków"...

Niezwykła scena znalazła rychło wyjaśnienie: oto cały batalion Węgrów, przeznaczony nam jako straż do pilnowania, dokonał masowej dezercji, nie chcąc zhańbić się rolą „żandarma braci Polaków". Część tych dezerterów żandarmeria austriacka wyłowiła, lokując ich w sąsiednim baraku, jako groźnych przestępców politycznych.

Druga historia wydarzyła się kilka tygodni później. Na przełomie marca i kwietnia jedziemy pod silnym konwojem w kierunku Włoch. Jedziemy krętymi drogami przez Koloszwar, Szatmarnemeti, Debreczyn. Drugi dzień jedziemy już o głodzie, w najbardziej ponurych nastrojach. Wreszcie — coś słonecznego, coś arcyludzkiego. Na stacji w Debreczynie uderza nas jakiś inny klimat. Na peronie rojowisko ludzi, którzy patrzą w naszą stronę z wyrazami nieukrywanej sympatii. Obok nich kotły z gorącą strawą i stoły zastawione potężnymi porcjami chleba i wędliną. Tak nas przywitali mieszkańcy Debreczyna, — nas, uznanych przez rząd austriacki za zbrodniarzy politycznych.

Wpłynęli jakoś na dowódcę konwoju, że pozwolono nam wyjść z wagonów z menażkami i chlebakami i obdzielono wspaniałą w treści i potężną w wymiarach porcją obiadową oraz pajdami chleba z wędliną.

Podobnych zdarzeń nie przeżywaliśmy już na całym obszarze Węgier, chociaż podróż z Debreczyna do granicy Jugosławii trwała jeszcze cały tydzień.

Dziś, po 47 latach od tamtych wydarzeń, gdy słyszę słowo DEBRECZYN, coś mi się zawsze w duszy rozjaśnia, coś piękniejsze, bo wiem dobrze, że w Debreczynie mamy serdecznych i wiernych przyjaciół.

Antoni Patla

TADEUSZ PIEKŁO

przed snem

Elżbiecie

nie będziesz sobą

i cóż że odsłonię
misterne kraty z powodzi powoju
łodygi rdzawych kwiatów cicho stają
i pachną kurzem na pustym balkonie

nie będziesz sobą bo jesteśmy dwoje
odległe cienie w jednym nieboskłonie
a gdzie jest dwoje jakże się obronić
i jak odróżnić co twoje co moje

patrz
stwe okno za brudną firanką
(inne — jak płótna świecą zażółcone)
tu światło ostre
sprzęty obnażone
czy tak bezbronny jest twój sen w poranku

już z dna ulicy trawa nocy rośnie
(u ciebie schodzi w dół —
schodek po schodku)
czarny tynk nieba łuszczy się pośrodku
i cisza czyha jak sowa
bezgłośnie

w śnie będziesz sobą (tam cię też odszuka
moja natrętna troska — krok po kroku)
lecz będziesz sobą bowiem sen jest sztuką
najbliższą śmierci
więc prawdą wysoką

przed snem mnie obroń — nie będzie mi ciężki
gdy dasz mi zieleń
zieleń pod powieki

w twoim cieniu

znów pomiędzy nas wchodzą żale
po skojarzeń podskórnych mostach
daj mi w cieniu twoim się znaleźć
daj mi w cieniu twoim pozostać

sam już nie wiem co robić dalej
by przestrzeni dzielącej sprostać
daj mi w cieniu twoim się znaleźć
pozwól w cieniu twoim pozostać

świat z kamienia ze szkła i stali
więzi zieleń
jak w niej się ostać
jak poziomki lipca ocalić
w twoich wargach
jak przy tym zostać

jak jesieni ogień utrwalić
w twych świecznikach
przydrożnych ostach

chcę zmęczony choć cień twój znaleźć
wiem
nie mogę w tym cieniu zostać

Przemyśl

Zanim usłyszysz: „Kolega"...

PRZYKŁAD pierwszy: Halina ukończyła Zasadniczą Szkołę Zawodową w roku 1963. Praca w gastronomii pociągała ją od dawna. Uczyła się dobrze, toteż chęć kontynuowania nauki w Technikum Gastronomicznym w jej przypadku była czymś zupełnie naturalnym. Jako absolwentka ZSZ — po otrzymaniu pracy w jednej z lubelskich restauracji — miała prawo do korzystania z zagwarantowanych przepisami zwolnień i urlopów przed egzaminami. Zetknięcie się z pracą wpłynęło jednak na młodą dziewczynę w zaskakujący sposób. Nauka przestała dla niej zupełnie istnieć. Oceny niedostateczne posypały się jak z przysłowiowego rogu obfitości i... skończyło się na rozstaniu ze szkołą już w pierwszym roku nauki. A praca? Ponieważ — jak twierdzą pesymiści — „nieszczęścia lubią chodzić w parze" — więc i tu rychło okazało się, że z zapału pozostały tylko wspomnienia. Miejsce chęci do nauki i pracy zajęło dążenie do „lekkiego zarobku i wygodnego życia". Na efekty nie trzeba było czekać długo. Po sześciu miesiącach pracy przyszła pierwsza kara porządkowa, po dalszych dwóch — następna. Ale na Halinie nie robiło to większego wrażenia. Potrafiła nie pokazywać się w restauracji po 5 dni bez usprawiedliwienia. Starsi koledzy kręcili tylko głowami: *„Gdyby to tak któryś z nas..."* Kierownictwo zakładu nie chciało jednak rezygnować zbyt szybko, dawano dziewczynie jeszcze jedną szansę. Sprawą Haliny zainteresowała się także dyrekcja LZG, przeprowadzono z nią kilka rozmów, próbowano, zawrócić ją ze złej drogi. Finał? Po kilku miesiącach bezowocnych wysiłków zaproponowano jej złożenie podania o zwolnienie z pracy. Co będzie robić teraz?

Przykład drugi: Kazimierz po ukończeniu szkoły podjął pracę w restauracji jeszcze w czasie wakacji. Dr. Wystarczyły dwa miesiące, by kontrolerzy Państwowej Inspekcji Handlowej zatrzymali dwa wystawione przez niego rachunki, które nie pozostawiały żadnych złudzeń, że młody kelner postanowił w ten niezbyt oryginalny i popłatny sposób „dorabiać" do pensji. Obecnie czeka go rozprawa sądowa.

Przykład trzeci: Władysław pracował w lubelskiej gastronomii tylko niecały rok. Powód? Zbyt szybko doszedł do wniosku, że zamiast podawać wódkę gościom — można ją pić samemu. I znów, podobnie jak w poprzednich przypadkach, próbowano wielu środków — bez skutku. Trzeba było zatem sięgnąć po środek ostateczny — zwolnienie z pracy.

Przykłady można mnożyć. Różne są wprawdzie nazwiska i imiona młodych ludzi oraz nazwy zakładów pracy, wspólne natomiast okoliczności i powody, dla których pożegnali się z gastronomią: nieuczciwość, pijaństwo i lekceważenie obowiązków. Oczywiście, byłoby ryzykowne rozciągać tę opinię na ogół absolwentów Zasadniczej Szkoły Zawodowej.

GASTRONOMICZNE REWIRY

STANISŁAW BODZIAKOWSKI

Czy wina leży wyłącznie po stronie młodych? Aby spróbować dać odpowiedź na to pytanie, postaraliśmy się prześledzić drogę młodych ludzi, kandydujących na miejsca kelnerów, bufetowych, szefów kuchni, blokierek itp. Chcieliśmy poznać motywy, którymi kierują się przy wyborze zawodu, zobaczyć, jak stawiają pierwsze kroki w zakładzie pracy. Nie było to sprawą łatwą. Właściwie wypadałoby rozmawiać niemal z każdym z absolwentów ZSZ indywidualnie, ale okazało się to zbyteczne. I tym razem trafiliśmy w większości przypadków na szablon, ani oryginalny, ani warty upowszechnienia. Postanowiliśmy zatem zbadać warunki, w jakich wzrasta młoda kadra pracowników gastronomii.

W Lublinie istnieje Zasadnicza Szkoła Zawodowa, w której okres nauki trwa 3 lata. Ze szkoły tej wychodzą absolwenci z tytułami młodszego kucharza, młodszego kelnera i cukiernika. Do trzech klas ZSZ: kucharskiej, kelnerskiej i cukierniczej przyjmuje się rocznie po około 30 chętnych. Właściwie powinno się powiedzieć, że przyjmowało się po 30 uczniów do klasy, bo już w roku bieżącym zapotrzebowanie wyraża się ogólną liczbą 10. Wydział Zatrudnienia PMRN, wbrew stanowisku LZG, doszedł do wniosku, że trzeba całkowicie zrezygnować z chłopców na rzecz dziewcząt. Czy to jest słuszne? Należy raczej wątpić, ponieważ praktyka wskazuje, że zwłaszcza w lokalach czynnych w nocy kobiety narażone są na zaczepki ze strony podpitych konsumentów, nie mówiąc już o samej ciężkiej pracy i o konieczności chyba niezbyt przyjemnego spaceru do domu po północy.

Co można powiedzieć o uczniach ZSZ? Nie ma wątpliwości, że idzie tu najczęściej element słabszy, a więc przede wszystkim ci, którzy po prostu bali się przystąpić do egzaminów w szkołach o ustalonych wymaganiach. W zdecydowanej większości jest to młodzież pochodzenia chłopskiego. Na około 100 słuchaczy rocznie z miasta jest zaledwie 3—5 osób. Młodzież nie należy do łatwej. Skarżą się na nią i wychowawcy i LZG. Nie są wyjątkiem przypadki, gdy ucznia trzeba po prostu wyrzucić ze szkoły.

Kapitalnie wręcz wygląda motywacja młodych, dlaczego wybrali swój zawód? Uczestnicząc w egzaminie wstępnym muszą oni wypowiedzieć się pisemnie na temat: *„Dlaczego chcę zostać kelnerem (kucharzem)"* Oto np. jeden z egzaminowanych pisze:

„Kocham pracę kelnera, bo będę mógł wszystko zjeść".

Inny kandydat stwierdza:

„Bardzo lubię pracę kelnera, bo będę mógł brać pieniądze od konsumentów".

Komentarze zbyteczne.

Co daje absolwentowi szkoła? Jeśli chodzi o ZSZ — dużo. Jest to zakład nastawiony na naukę zawodu. 3 dni w tygodniu odbywają się lekcje, zaś 3 dni praktyka, za którą uczniowie otrzymują od 150 do 450 zł miesięcznie.

O ile jednak absolwenci ZSZ mogą iść do produkcji (płaci zresztą za to przez cały okres ich nauki LZG, „Społem" czy PSS), o tyle gorzej ma się rzecz z Technikum Gastronomicznym. Ono nie gwarantuje przygotowania swych absolwentów do produkcji w takim stopniu, jak ZSZ. Absolwenci Technikum mogą pójść do pracy biurowej w gastronomii, lub na stanowiska blokierek, bufetowych i... właściwie koniec na tym. Nie dla nich są posady szefów kuchni itp., brak im bowiem lepszego przygotowania zawodowego.

W gastronomii uwidacznia się wyjątkowo duża płynność młodych kadr. Element — jak już wspomniano — nie jest najlepszy. Niejednokrotnie dużo do życzenia pozostawiają również instruktorzy w poszczególnych zakładach; mogą oni być nawet najlepszymi fachowcami, ale nie zawsze są pedagogami. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że młode dziewczęta zwłaszcza w perspektywie rychłego wyjścia za mąż, rzucają pracę w gastronomii bez żadnych skrupułów. Dużą rolę gra tu też tradycyjny konflikt: starzy — młodzi. Jeśli do jakiegoś zakładu trafi absolwentka ZSZ, zaś jej instruktorem był właśnie pracownik tejże restauracji, który ma praktykę, tylko brakuje mu wykształcenia, konflikt gotowy, bo przecież ta „świeżo upieczona" siła dostanie te same pobory co jej nauczyciel, uważający (i chyba słusznie), że umie od niej znacznie więcej. Nie można też przemilczeć faktu, że w gospodach GS kelnerzy mają wyższe uposażenia, co nie pozostaje bez znaczenia na wybór miejsca pracy. Trzeba bowiem pamiętać o zjawisku wysoce anormalnym, że absolwent ZSZ nie ma obowiązku podjęcia pracy w instytucji, która finansowała jego naukę przez 3 lata. Stąd liczne „ucieczki", zmiany po skończeniu szkoły i tym podobne niespodzianki. Jest jednak rzeczą niepokojącą, że instytucje, które płacą za kształcenie młodych fachowców, nie zawsze potrafią zagwarantować im później pracę. Tak wygląda np sprawa z Lubelskimi Zakładami Przemysłu Piekarniczego, które w roku 1964 i 1965 odmówiły przyjęcia do pracy kilku absolwentów specjalnie i przy ich pomocy finansowej dla nich wyszkolonych. Ciężka praca powoduje też niewątpliwie duży odsiew już na po-

(Dokończenie na str. 5)

„OCET SIEDMIU ZŁODZIEI"

WIKTOR KRYSZCZUKAJTIS

OD lat nie możemy się uporać z wynalezieniem radykalnego lekarstwa przeciwko żółtaczce, a tymczasem już w 1601 roku francuski medyk królewski Józef Querc znał receptę na tę chorobę. Brzmiała ona: *„Weź trociny słoniowej kości, albo zęba, proszku gnoju gęsiego i szafranu pół drachmy. Zawiąż wszystko w chustkę lnianą i warz to w winie i w wódce. Przecedź, a osłódź jeśli chcesz cukrem. Wypijaj tego codziennie zanim wstaniesz".*

Nasi rodacy w owych czasach również parali się sztuką preparowania różnych farmaceutyków. Oto Aleksy Podemontana w wydanej w 1758 r. w Supraślu *„Medyka y Filozofa Tajemnice"* takie zaleca lekarstwo na chore płuca: *„Weźmij myszych łajen tartych pół drachmy, wódki babczaney, trochę cukru. Zmieszay a będzie trunek, który pij na świtaniu na czczo".*

Nieco bardziej skomplikowane wydaje się być lekarstwo przy *„leczeniu brzucha y członków jego".* Czytamy tam: *„Weźmij kota tłustego, odrzyj go, włóżże tak całkiem w gęś oskubioną, a uiecz tak oboje i postaw jakie naczynie, w które tłustość będzie kapała. Tę tłustość potem schoway. A gdy będzie potrzeba smaruy chore członki".*

Jest tam również przepis *„Jak wiatry żołądkowe wypędzać"* i *„Jak cyckom róść bronić".*

Nigdy bym się o tych cennych medykamentach naszych przodków nie dowiedział, gdyby nie przypadkowa wizyta w jedynym tego rodzaju muzeum w Europie — w Muzeum Historycznym Farmacji mieszczącym się przy ul. Basztowej 3 w Krakowie. Oprowadzany przez dr Stanisława Pronia przez dwie godziny oddychałem atmosferą średniowiecza, chłonąłem tajemnicę aptekarzy Odrodzenia i wieków późniejszych. Czasami zadrżałem widząc jakieś dawne kleszcze i inne narzędzia chirurgiczne, a potem znów popadałem w melancholijną zadumę, patrząc na przepiękne hiszpańskie naczynia, misterne talizmany przeciwko urokom i zaszklone w szkle *„łzy batawskie".*

Trzy tysiące eksponatów w kilku pokojach, a dalszych 12 tysięcy w magazynie. Co za bogactwo, ile tu mrówczej pracy i pasji zbieracza! Obok mnie stał twórca tego dzieła — dr Stanisław Proń. Kiedyś było to tylko jego hobby. Przed dziesięciu laty Ministerstwo Zdrowia zaproponowało mu utworzenie muzeum polskiej farmacji. Dr Proń przyjął propozycję i odtąd zaczął się dla niego czas udręki. Przejechał, a ściślej mówiąc, przemaszerował Polskę wzdłuż i wszerz, szperając po strychach i piwnicach starych aptek. W ciągu kilku lat odwiedził kilka tysięcy aptek. Trudno laikowi ocenić wartość tych zbiorów. Akademik radziecki, prof. S. Godiszczew, określił je jako niezwykle cenne naukowo i najlepsze w świecie. Kustosz Muzeum Pasteura w Paryżu Denise Wrotnowska (prawnuczka powstańca z 1831 r.) oświadczyła, iż nie widziała jeszcze tak bogatego muzeum.

Tu, w Krakowie, poznać można całą historię aptekarstwa. I trzeba stwierdzić, że od początków swoich było ono dalekie od szarlatańskich sztuczek, dzielnie walczyło z zabobonami i babskimi czarami. Cytowane na wstępie tego reportażu „Medykamenta" niewiele miały wspólnego z techniką aptekarską. Zawód aptekarza ceniony był wysoko, a wszelkie „nieczyste sprawy" karano jak najsurowiej. W 1624 r. aptekarz lwowski Lang gardłem przypłacił wydanie z apteki trucizny. Jak podają kroniki, pierwsze apteki na ziemiach polskich powstały w Świdnicy (1248 r.) i Wrocławiu (1287 r.). W wiekach późniejszych apteczki domowe posiadały wszystkie polskie dwory. Mieściły się one w spiżarniach i posiadały na składzie zioła, korzenie, maści, driakwie z gadów, a przede wszystkim sadło wilcze, lisie, borsucze i niedźwiedzie. A obok tego lecznicze wina i wódki. Toteż Krasicki w „Panu Podstolim" tak pisze: *„Przed obiadem poszliśmy do apteczki, tam w niezliczonych rodzajach wódek... wybrał niektóre i napił się".*

Obok leków apteki słynęły również z win, wódek i ciast. W 1500 roku na ucztę wydaną przez królewicza Zygmunta (I) zakupiono u aptekarza trzy marcepany.

Dawne lekarstwa nie musiały być takie złe, skoro wiele z nich do dziś jest w użyciu. Dotyczy to zwłaszcza ziół. A inne lekarstwa? Słynny w dawnych wiekach *„ocet siedmiu złodziei"* produkowało się następująco: *„Piołun, szałwię, lawendę, tatarak, dzięgiel, czosnek, rozmaryn i inne pokrajać, potłuc, pomieszać z octem winnym i na 12 dni postawić na słońcu. Dodać jeden łut kamfory. Tym się nacierać i po łyżce zażywać".* Pozornie, stek nonsensów. Ale gdybyśmy poddali ten ocet analizie farmakologicznej, to okaże się, że piołun ma własności przeciwgnilne, olejki rozmarynowy i lawendowy — odkażające, szałwia działa przeciwgnilnie i ściągająco, a czosnek bakteriobójczo. Jasne więc, że *„ocet siedmiu złodziei"* miał działanie pozytywne.

A jakich środków używano w takich wypadkach:

„Żona Leszka Czarnego, księżniczka Gryffina, chociaż z mężem swoim lat już blisko sześć mieszkała, oświadczyła wobec zwołanego zgromadzenia panów, rycerstwa i matron, w obecności samego księcia Leszka, potwierdzającego skargę milczeniem, że aż dotąd jest dziewicą".

Księcia wyleczył słynny wówczas lekarz niejaki Mikołaj z Polski. Pytacie w jaki sposób? Niestety, zabrał Mikołaj swoją tajemnicę do grobu. A szkoda.

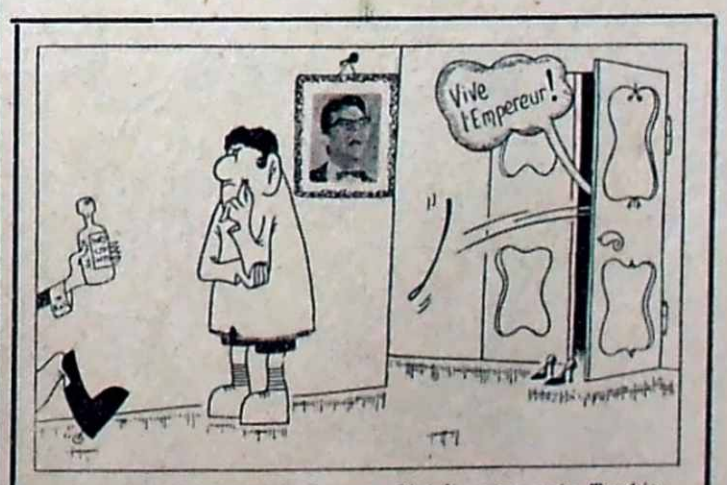

Dom Szambelanowej (s-do voto Gintult, p-mo voto Tyszkiewicz). Cedro oczekuje niecierpliwie na Rafała żegnającego się z panią domu.

89 szans Kielecczyzny

RYSZARD PODLEWSKI

LICZBA wymieniona w tytule nie jest kabalistycznym zaklęciem, nie ma też nic z symbolu — określa bardzo realną sytuację, istniejącą w woj. kieleckim. Mamy tu bowiem aż 89 ośrodków, z którymi trudno sobie poradzić w sensie ścisłego określenia ich charakteru — czy to są wsie czy miasta, osiedla czy osady? Z jednej strony od wsi już odeszły, z drugiej nie zbliżyły się znów na tyle do miasta, by można im bez wahania nadać to miano.

Sprawa nie dotyczy zresztą jedynie nazwy — kryje się tu ogromna masa problemów, trzeba włożyć znaczny wysiłek, by ten przejściowy, nieokreślony charakter aż tylu ośrodków zmienić w wyraźnie miejskie oblicze.

Któż nie zna specyficznej atmosfery dziesiątków takich niby-miasteczek — rozsianych w całej Kieleccyźnie? Bezruch i marazm małych ryneczków, po których i ludzie i zwierzęta snują się jak w zwolnionym filmie. Co krok spotykamy się tu ze śladem minionej przeszłości, nazwy byłych miasteczek weszły do historii, ale jakoś nie udaje im się już wejść w teraźniejszość.

Ożywiają się czasem tylko głosami przejezdnych turystów, którzy z informatorów i przewodników dowiedzieli się czegoś o szacownym zabytku i teraz w zdumieniu oglądają resztki świetności, otoczone błotem, stertami śmieci i słomy.

Zabytek stoi — ale nie nadaje się, by go zwiedzać, osada ledwie żyje, nie ma możliwości zabezpieczenia reliktów historii.

Sceny te oglądałem już niejednokrotnie sam i w Chęcinach, i w Bodzentynie, w Pińczowie, Szydłowie, Staszowie i Wiślicy. Często nazwa jest o wiele większa, niż treść przetrwała do dziś. Z tamtych też czasów chwały — przeszły do dziś tytuły miejskie tych ośrodków, najczęściej równie anachroniczne i bezpodstawne — bo z miasta po najrozmaitszych kataklizmach nie pozostało prawie nic; tylko pamięć wielkich dni, duma u niewielu najbardziej oddanych weteranów, przechowujących pamiątki... Teraz w języku ekonomistów i urbanistów nazywają się te punkty na mapie „osadami zurbanizowanymi" — najczęściej urzęduje w nich Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej, co już wydaje się policzkiem, wymierzonym dumie dawnych grodów. A jest ich bardzo wiele, bo aż 62 osady, niegdyś pyszniące się prawami miast, a są w tej masie Ożarów i Szydłów, Wiślica i Koprzywnica. Upadły albo już dawniej, albo dopiero teraz, w czasie ostatniej wojny, wyniszczone ludnościowo, pozbawione rzemieślników i handlu, z którego niegdyś słynęły i czerpały dochody. Wegetują na pograniczu wsi i legitymują się bardzo małym majątkiem miejskim.

Postawienie ich na nogi, a więc, jak to się obecnie modnie mówi — „aktywizacja" — to problem zarówno ekonomiczny, jak i społeczny. Żyje w nich przecież około 34 proc. ogółu ludności miejskiej województwa kieleckiego. Właściwie wszystkie małe miasta, poza pięcioma prężnymi ośrodkami, jak Kielce, Radom, Ostrowiec, Starachowice i Skarżysko — to organizmy jeszcze kulejące, ekonomicznie zaniedbane, mające prawo do rozwoju, do wejścia w wiek XX. Dla przeważającej liczby tych ośrodków stworzono już podstawy do dalszego rozwoju — takim pierwszym warunkiem jest komunikacja — łatwy dostęp do nich koleją, czy szosą. Połączenie ze światem dało więc prawie wszystkim szanse zupełnie nowe, zaostrzyło też apetyty i ożywiło plany.

Problem małych miasteczek zjawił się jako problem niezwykle poważny nie od dziś — bo dostrzegano jego zaostrzenie się już wiele lat temu. W 1959 roku z inicjatywy Kieleckiego Towarzystwa Ekonomicznego, przy wydatnej pomocy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, zorganizowano sesję naukową, której główny temat naukowych rozważań stanowiły małe miasteczka. Wnioski były bardzo poważne, wynikało z nich dążenie do zbadania sprawy, szans pośpieszenia z pomocą upadającym organizmom. Nasi ekonomiści zajęli się więc dokładnie możliwościami rozbudowy małych zakładów przemysłowych, kooperujących z dużymi fabrykami województwa. Zbadano 5 dużych zakładów i okazało się, że korzyść tu być może nie tylko dla małych Iłż, czy Zwoleni, ale także dla fabryk województwa, które współpracują niemal z całą Polską, podrażając niezmiernie koszt elementów przez ich transport, na przykład — aż ze Szczecina. Analiza wykazała, że drobne części i akcesoria, niezbędne do wyrobu gotowych skomplikowanych maszyn, można z powodzeniem wyrabiać u nas, dając szansę ubogim miasteczkom.

W ślad za tymi badaniami poszły następne posunięcia praktyczne. Firma „Prozamet" opracowała dokumentację kooperacyjną dla 10 małych zakładów województwa kieleckiego. Potem zajęto się rozpoznaniem możliwości 41 osiedli. Wyjechały trzyosobowe ekipy fachowców na zwiad w głębokim terenie, zawierając znajomość z miejscowymi warunkami, na rozmowy z miejscowymi działaczami i entuzjastami. Opracowano poważny bilans możliwości aktywizacyjnych z dokładnymi danymi, co do rezerw, niszczejących gdzieś bez użytku. Szukano powierzchni produkcyjnych, fachowców, rąk do pracy. I wykryto wiele nieoczekiwanych szans.

Każde miasteczko ma teraz własną dokładną metryczkę ekonomiczną, świadectwo możliwości rozwoju. W Łagowie, który był do niedawna synonimem kompletnego upadku, dziś jest już choćby na pierwszy rzut oka inaczej, w ramach funduszów interwencyjnych zatrudniono tu ludzi do porządkowania rynku. Walące się niby - miasteczko na ruchliwej trasie nie razi już tak, jak dawniej, ale marazm w nim pozostał. Kiedyś wybudowano tu halę produkcyjną zakładu, który trzy razy zmieniał już właściciela. Obecnie w dużej hali, która mogłaby przy mądrej gospodarce i odpowiednim profilu produkcji zatrudnić 100 ludzi, szyje pościel zaledwie 9 kobiet. W takim samym obszernym zakładzie w Wodzisławiu pracuje tylko 12 stolarzy.

Tego typu przykładów jest wiele więcej i dlatego po pierwszym dokładnym zwiadzie postanowiono ożywić 89 miejscowości, z których można uczynić centra usługowe dla ludności rolniczej, bardzo często pozbawionej pomocy rzemiosła. Te małe miejscowości skupiają w sumie, jak się oblicza, 200 tys. ludzi. Jest to poważna armia.

W ramach propozycji aktywizacyjnych przy nakładach 2 miliardów złotych, można w okresie najbliższej 5-latki, zapewnić pracę 10 tysiącom ludzi. Zainteresowano miasteczkami Centralny Związek Spółdzielczości Pracy. Plan tego Związku zawiera możliwość stworzenia nowych 3400 miejsc pracy w chałupnictwie. Powstaną hale produkcyjne pod Staszowem, w których umiejscowione zostaną usługi dla rolnictwa.

Najlepiej i najpewniej aktywizuje się każdy ośrodek przez przemysł — i takie jest generalne założenie wszystkich planów w województwie. Ale na przykład Bodzentyn, który nie ma tych szans przemysłowych, będąc raczej centrum rejonu rolniczego, także chce awansować do rangi miasta. Zresztą niegdyś był on ważnym handlowo miastem, prowadzącym ożywiony handel z kupcami krakowskimi jeszcze na długo przed Kielcami. Teraz uzyskało szansę wielu rzemieślników — dotąd rozproszonych, a mających przy awansie miasteczka świadczyć coraz szersze usługi ludności wiejskiej. Bodzentyn — jako stolica rolniczego rejonu, na dobrych glebach — zwanych opatowskim pasmem lessów — ma także możliwości organizowania handlu dla całej okolicy. Dzisiaj jest tu jedynie siedziba Gromadzkiej Rady, a funkcje przewodniczącego pełni doświadczony rolnik — Teodor Kilian z odległej o trzy kilometry wsi. Bodzentyn dziś ma 3 i pół tysiąca mieszkańców, za pięć lat ma wzrosnąć o następny tysiąc — rozbudowując Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego, budując POM oraz technikum mechanizacji rolnictwa, zapewniając coraz szerzej usługi rzemieślnicze. Dziś otrzymano już pierwsze „miejskie" przydziały węgla, według rozdzielnika Wojewódzkiej Rady Narodowej i taka jest ta nieco dziwna jaskółka rosnącej miejskości Bodzentyna.

Różne były losy 89 ośrodków, które kiedyś istniały jako miasta, albo mają też te ambicje dopiero dziś. Różne też będą drogi ich rozwoju w dążeniu do dopędzenia tego, co wymknęło im się w czasie. Jedno jest pewne — wszędzie nastąpiło widoczne ożywienie, wszędzie podniosła się temperatura dyskusji nad stworzeniem szans aktywizacyjnych. Każdy z tych 89 punktów na mapie Kieleccyzny szuka swego współczesnego miejsca w życiu gospodarczym kraju.

Debiuty

JÓZEF DWOJAK

Słowa

Jak ameby
nigdy nie miały
określonego kształtu.

Dobrze poznałem
ich smak
i wytrzymałość,

Kruche
pękały przed wypowiedzeniem
Szklane słowa...
Twoje słowa...

* * *

Nie mów nigdy
skończone
kiedy ostatni ptak
nie opuścił
strzechy nadziei.

Zastygłych kolorów
nie chowaj w czerni.

Nie gaś nigdy
świateł powrotów
One wskażą drogę
innym ptakom
które ożywią ospałe
klatki milczenia.

Szczecin

LESZEK MROCZKOWSKI

Strach

Mój strach
jest mały
jak ziarno grochu
w gardle dzikiego
gołębia
Przetnie go stuk kroków
szum spadającej gwiazdy
różowe słowo
mojej dziewczyny

Radom

Spuścizna Żeromskiego

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Dyletant? — Wiele więcej. Często, po prostu, naiwniak. Rozentuzjazmowany syn całuje rozkopane kości ojca-powstańca.

Ale zastanówmy się. Poczuwszy tęsknotę, musiał ubrać się. Wyjść w noc. Jechać gdzieś w las. Zasapał się paru godzinami dobrej pracy, odkopując w pojedynkę grób. Wreszcie ma w ręku piszczel — brudną, z próchnicy, z glist, może cuchnącą. Czy czas, który minął między kulminacją napięcia i interwalem tych kilku godzin fizycznych wysiłków — nic nie znaczy? A że konie w Nawłoci tak czarne — bo stoją w stajni bez okien?

Na oba te spostrzeżenia zastrzegam copyright. Ale czyż nie są one w stylu stawianych zarzutów?

No i cóż, proszę szanownych pedantów, no więc cóż? Nad tym wszystkim polatuje płomień serca nieukojonego.

* * *

Skończmy z „niedołężną" formą, przejdźmy do jeszcze bardziej (może) niedołężnej ideologii.

Ta Joasia... Ta Joasia, którą się wiecznie wytyka, jako deformację ideologiczną. Przede wszystkim — podejrzewam, że nie takie to poświęcenie, że w Judymie tkwiła Natalia. Ale jeśli nawet wybronię tematykę Joasi, to nie wybronię się od dziesiątków „siłaczek".

Przyjmuję więc i Joasię i to wszystko z dobrodziejstwem inwentarza. Ażeby zgodzić się, że Żeromski był, ideologicznie, pisarzem przynaturzonym. Proszę zwrócić uwagę na ten, może, neologizm. Przynaturzony, to nie wynaturzony. Wynaturzony jest synonimem deformacji chorobliwej, jak np. rachityzm. Przynaturzony — znaczy deformację celową — jak wykrzywione nogi u jamnika służące mu do rozkopywania lisiej jamy, ryj mrówkojada, zrogowaciały język dzięcioła, dziób tukana.

Że robi się z Żeromskiego na siłę społecznika? Jeśli słowo społecznik ma mieć znaczenie zawężające (może nawet pejoratywne), to nie my Żeromskiego deformujemy swoim osądem. To ciężar losu narodowego zdeformował — przynaturzył.

Po prawdzie mówiąc — gdzież w dziejach ostatniego półtorastulecia polski pisarz nie przynaturzony do każdorazowych potrzeb narodu?

Czy może Mickiewicz? Laluś z wczasów krymskich, lew salonów petersburskich, zaklepany na amen przez współczesnych na wieszcza, nagle złazi z cokołu dosytnej chwały, (chociaż ta chwała jest rzeczywistą, a nie chałą), dwadzieścia lat nic nie pisze, miota się w Collège de France aż się Francuzi pukają w czoło, z niemytymi włosami, z łupieżem na wytartym surducie, użera się, Słowackiemu krzyczy „won durak", kłóci się z papieżem, jest w jakiejś malignie ze swymi dwunastu ochotnikami we Włoszech, wielbi męt Towiańskiego.

Nie jest on wynaturzony, tylko przynaturzony do polskiego nieszczęścia. Dając odetchnąć złudą, że Polska jest Chrystusem Narodów, początkuje prąd coraz bardziej miałki w miarę jak się zabliźniają rany, prąd porządkowany przez szkołę Krakowską, który jednak dostaje się aż w dwudzieste stulecie wąskimi strużynami Chołoniewskiego, Artura Górskiego, Tomasza Siemiradzkiego (historyka), Wacława Gąsiorowskiego, w geopolityce — Romera i Sujkowskiego, no i nie mówię już o malaturach (naturalnie nie zaczepiając Matejki).

Teraz, kiedy myślimy o Mickiewiczu, powinniśmy sobie zadać pytanie. Czy byłby on nam droższy umierając na cokole, po napisaniu „Pana Tadeusza" i przed „popełnieniem" „grafomańskiej" „Księgi Pielgrzymstwa"?

Jaśniałby w historii naszej literatury, ale tak by nie grzał zmarzniętego ludzkiego serca. Ten pisarz — przynaturzony do tego, aby ulżyć straszliwej doli narodu i nie dać, żeby skostniał krzyż — tak zgięty, że aż nie da się rozprostować w przyszłości.

Gdyby nie Mickiewicz — nie byłoby czym reagować pozytywistom, gdyby nie pozytywiści, nie byłoby endeków, gdyby nie endecy nie przyszedłby ruch koniunkturalny Piłsudczyków jako prawidłowości dziejowej, gdyby nie interwał sanacyjny, nie byłoby przejścia do marksizmu. Wszystkie te kolejne przynaturzenia były dziejową potrzebą. A te przynaturzenia dziejowe dzielili pisarze tego narodu.

Trudno nam teraz oburzać się na „Lalkę", nie reagującą na prymitywne zaloty dorobkiewicza zbogaconego na dostawach wojennych, który obsaczał swój ideał, skupując weksle jej ojca. Ale za prusowskich czasów Wokulski był potrzebną odtrutką na Chrystusa Narodów.

Prus, który jeszcze przed samą pierwszą wojną apelował do młodzieży wzywając ją do wzięcia ołówka i wynotowania po jednej stronie, ile armat i dywizji mają zaborcy, a ile jednostrzałowych Werndli organizacje niepodległościowe — był już przeżytym rekwizytem epoki pozytywizmu, jakże szacownej epoki, przynaturzonej do zabliźniania ran, do Tylora, Spencera, Adama Smitha i Darwina, do ewolucjonizmu, doboru naturalnego, do hasła „enrichissez vous" i do Jachowiczowskiego „czyń każdy w swoim kółku".

Sienkiewicz, apoteozujący Wiśniowieckiego, „przynaturzył się" do narastającej fali ruchu niepodległościowego. Nic nie pomogą różne pisarskie „alibi", przypomnijmy sobie, jaki ustęp najrzadziej odczytywaliśmy po raz wielokrotny wracając do Trylogii. Czy nie rozmyślania wojewody Kisiela?

Żeromski był z długiego szeregu pisarzy swojego narodu. Ta literatura ułożona jest w każdej epoce warstwicami — socjolog nie lekceważy żadnej warstwicy.

Korzenie twórczości Żeromskiego schodzą w dół, do niższych pokładów, do Rodziewiczówny. Marek Czertwan i Judym, to krewniacy. Absolutny zakaz pozbywania się ziemi, to przynaturzenie. Przynaturzenie tak trwałe, że przed kilku laty słyszałem w Ameryce starą panią, (której zięć sprzedał farmę kurzą) wzdychającą, że „znowu kawał polskiej ziemi przeszedł w obce ręce".

To nonsens żądać dla Żeromskiego Nobla. Nikt na świecie nie zrozumie jego twórczości. Amerykanin, który przeczytał w „Wiernej rzece", że ciężko ranny powstaniec chce wracać do bitwy, Amerykanin wychowany na James Jonesie, na Mailerze, nawet na „Pożegnaniu z bronią" Hemingway'a, na racjonalistycznej tematyce wojennej Ernie Pyle'a, Leland Stove'a, Reynoldsa, Amerykanin, któremu już przez gardło ciężko przechodzi zarażony polskim przynaturzeniem „Lord Jim", odrzuca książkę z niesmakiem jako „too sentimental" (tak określił moją książkę „In the Polish Field Hospital" znajomy Anglik). Nawet Włoch, bliższy nam emocjonalnie, kręcił nieufnie w palcach moją „Storia di una Famiglia" zastanawiając się, czy tam nie ma „tropo extravaganza", tak jak Francuzi informowali się, czy moja „Litanie de la Faim" nie jest „exagerée".

Przepraszam za powołanie osobistych doświadczeń. Wszystkie te, tłumaczone, książki były pisane dla Polaków. Przynaturzona literatura polska jest trudna do rozszyfrowania.

Naturalnie, że gdyby „Ludzi bezdomnych" napisał np. Dostojewski przyłożono by się na zachodzie do rozżucia tej tematyki.

→

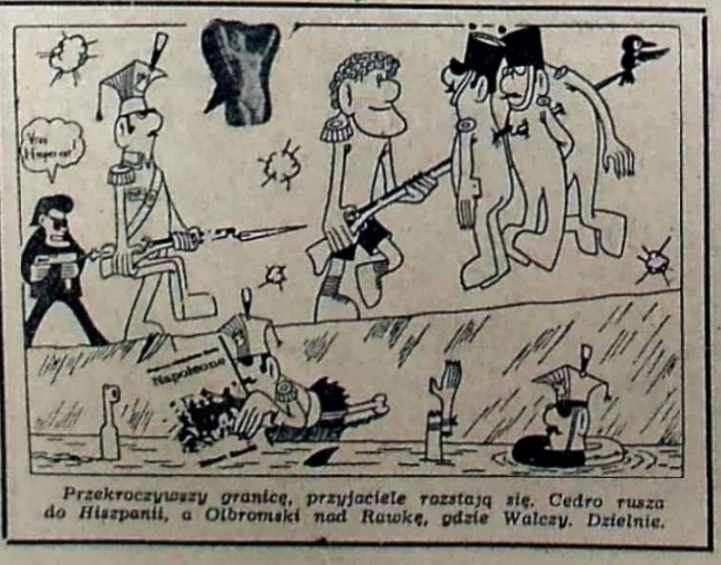

Przekroczywszy granicę, przyjaciele rozstają się. Cedro rusza do Hiszpanii, a Olbromski nad Rawkę, gdzie Walczy. Dzielnie.

ZBIGNIEW RAMOTOWSKI

Czy to jest kochanie?

GDYBY ktoś podsumował godziny, które spędził w auli radomskiego SN wykładowca gramatyki języka polskiego i tzw. kultury żywego słowa w tym Studium, mgr Stanisław Nowakowski... Jeśli by policzyć „Wawele", które młodzież pici obojga, o ubogiej, bo studenckiej kieszeni, łaskawie „wychmurzyła"... Nikt nie liczy, bo i po co, a profesor nie jest małostkowy. Grunt, że przychodzą chętnie, że wkuwają teksty Słowackiego, Krasińskiego i Krasickiego, Tuwima i Pawlikowskiej — Jasnorzewskiej, że starcza im talentu i chęci, by żmudnie cyzelować akcenty, gesty, mimikę.

Studencki Teatr Poezji przy Studium Nauczycielskim w Radomiu powstał w 1958 r. Tworzyli go i tworzą słuchacze ze wszystkich kierunków.

Zespół w ciągu 7 lat dał ponad 50 pełnospektaklowych przedstawień (ok. 15 tys. widzów), nie licząc okolicznościowych montaży poetyckich prezentowanych w uczelni, na akademiach miejskich, w zakładach pracy, klubach, świetlicach. Z ciekawszych tytułów premier należy wymienić m. in. „Narodowe Theatrum" — widowisko poświęcone J. Słowackiemu, montaże utworów różnych poetów: „Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie", „I śmiech niekiedy może być nauką" oraz „Serce nienasycone" — zestaw fragmentów dramatów S. Żeromskiego przygotowany w 100-lecie urodzin tego pisarza. Sięgnięto również do folkloru. Wielkim powodzeniem cieszyło się widowisko „Wesele świętokrzyskie".

STP nie ma sobie równego w Radomiu i należy do nielicznych tego typu zespołów na Kielecczyźnie i poza jej granicami. Sądzi się bowiem powszechnie, że dziś już nikt nie słucha dawnej poezji, a Mickiewicz czy Wyspiański stali się nieprzydatni dla amatorskiego ruchu teatralnego. Mgr Nowakowski i dziesiątki jego „teatralników", którzy przeszli dotychczas przez

Fot. Bronisław Duda

studencką scenę, trzymają się jednak uparcie obranego kierunku. Ostatnio sięgnęli np. po tekst nikomu nie znanego (poza specjalistami) wierszopisa krakowskiego z przełomu XVI i XVII w.

Okazuje się, że owe pozornie martwe treści przyjmowane są ze zrozumieniem i aprobatą.

Absolwenci SN w Radomiu potwierdzili na niedawnym zjeździe byłych członków STP, że działalność w zespole studenckim bardzo im się przydała.

Zygmunt Jarząbek stwierdza: „Prowadziłem drużynę ZHP. Zbiórki były bardziej aktorskie niż harcerskie. A mnie jeszcze namawiano do recytowania na konferencjach rady pedagogicznej..."

Włodzimierz Helman, podchorąży Oficerskiej Szkoły Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu, próbuje zorganizować ambitny i równocześnie atrakcyjny zespół teatralny, by wykurzyć z koszar spotykaną w wojsku szmirę. Marek Bargielowski, zajął się teatrem zawodowo. Jest już na trzecim roku warszawskiej PWST. Przygotował na zjazd referat na temat współczesnego kształtu amatorskich teatrów poezji.

Nie wszędzie jednak docenia się umiejętności i szczere chęci. Oto fragment wypowiedzi innego radomskiego pedagoga, Jana Wulkiewicza: „Zwróciłem się do kierownika szkoły z propozycją utworzenia zespołu recytatorskiego. Zdziwił się: coś pan, fizyk ma prowadzić taki zespół? Przekonałem wycinkami z gazet i dyplomami... Pierwszy program przygotowywaliśmy w pomieszczeniu ze sprzętem sportowym. Udało się, ale na premierze... trzydziestoosobowe grono reprezentowały zaledwie trzy nauczycielki. Nikogo z kierownictwa! Po kilku występach zespół zlikwidowano, a do mnie docierały nadal złośliwe uwagi: wygłupiać się każdy potrafi, niech pan myśli lepiej o swoim przedmiocie".

Na szczęście podany wyżej fakt należy raczej do wyjątkowych.

Gastronomiczne rewiry

(Dokończenie ze str. 3)

czątku zawodowej kariery, ale — jak widać — przyczyn jest znacznie więcej.

Wydaje się, że warto w tym miejscu zadać pytanie odpowiednim czynnikom, a więc Wojewódzkiemu Zjednoczeniu Przedsiębiorstw Handlowych, obu lubelskim dyrekcjom LZG: „Śródmieście" i „Stare Miasto", ich organizacjom partyjnym i młodzieżowym: czy naprawdę zrobiono już wszystko, aby poprawić istniejący stan rzeczy, stworzyć dla młodzieży jak najlepsze warunki do nauki zawodu, zadbać o właściwe stosunki międzyludzkie w zakładach pracy?

Może warto (chociażby z inicjatywy ZMS) zorganizować spotkanie z udziałem młodych kelnerów i kucharzy, aby bezpośrednio od nich dowiedzieć się o ich bolączkach i kłopotach, które następnie — po wnikliwej analizie — trzeba byłoby starać się w miarę możliwości usuwać.

Nie ulega kwestii, że LZG powinny podjąć odpowiednie kroki w celu uzyskania zezwolenia na egzekwowanie od absolwentów Zasadniczej Szkoły Zawodowej (oczywiście tylko uczniów przez siebie finansowanych) obowiązku pracy w gastronomii — jako rekompensaty za poniesione koszty szkolenia młodzieży. Chodziłoby więc o pewnego rodzaj powrót do nakazów pracy. To jest jednak tylko jedna strona medalu. Nie można pominąć i drugiej — tj. dopuścić do wyrzucania pieniędzy w błoto. LZG powinny pokrywać koszty związane z naukę w ZSZ tylko za tylu uczniów, na ilu istnieje realne zapotrzebowanie (z uwzględnieniem poprawki na tzw. „odsiew' w ciągu 3 lat nauki).

Wypada też zastanowić się nad formami nauczania zawodu kucharza i kelnera. Czy prawo wyłączności w tym względzie powinna mieć szkoła? Przecież był okres, gdy w LZG prowadzono tzw. „szkolenie przyzakładowe". Że „gra była warta świeczki", niech zaświadczą chociażby te dwa przykłady: obecni szefowie kuchni w lubelskich restauracjach: „Picolo" i „Stylowa" zaczęli pracować w LZG „niemal od dziecka". Dzięki wyłącznie szkoleniu przyzakładowemu zdobyli nie tylko zawód, ale i najwyższe kwalifikacje. Obaj mają dziś tytuły kuchmistrza instruktora (tytuł nadawany przez Ministerstwo Handlu Wewnętrznego po kursie centralnym), ciesząc się opinią fachowców z prawdziwego zdarzenia i poważnym autorytetem wśród pracowników. Przytoczyliśmy te przykłady nie po to, by zachęcić LZG do podjęcia kroków mających na celu przywrócenie starych obyczajów, ale pragniemy się jedynie zapytać: czy naprawdę wszelkiego rodzaju kursy dokształcające są już przeżytkiem?

Nie da się także ukryć potrzeby dokonania wnikliwej oceny pracy samych instruktorów. Chodzi o to, by nauczycielami zawodu byli nie tylko najlepsi fachowcy, ale i ludzie o dużym takcie pedagogicznym i autorytecie.

Wreszcie sprawa reklamy. Odnosi się wrażenie, że zawód pracownika gastronomii jest mało popularny, a jednocześnie towarzyszy mu niezbyt pochlebna opinia publiczna. Mało jednak kto wie, jak wygląda droga awansu pracownika LZG. Otóż po 5 latach stażu może on przystąpić do egzaminu na kelnera lub kucharza, co wiąże się z podwyżką uposażenia o około 300—400 zł. 10-letni staż pracy upoważnia do egzaminu na starszego kucharza czy starszego kelnera i tu w grę wchodzi już podwojenie poborów młodego człowieka. Warto dodać, że kuchmistrz zarabia około 3000 zł, gdy zaś jest on szefem kuchni na ryczałcie — 4000 zł. Takie są finansowe perspektywy dla młodych.

Na zakończenie jeszcze jeden przykład: w LZG krąży jak legenda opowieść o synu inżyniera ze Świdnika, który — wbrew rodzicom — postanowił zostać kucharzem. Postanowił i został. W pracy egzaminacyjnej napisał m. in., że pragnie *„rywalizować z lekarzem i tak karmić ludzi, by specjaliści od leczenia chorób układu pokarmowego zbankrutowali z braku pacjentów"*. Trudno powiedzieć, czy istotnie wszyscy klienci „Stylowej" w Białej Podlaskiej są zdrowi, ale jest pewne, że lokal ten ma zasłużoną dobrą opinię zarówno u konsumentów, jak i w dyrekcji. Wniosek? System rekrutacji do ZSZ, formy reklamy zawodu, staranniejsza selekcja — to tematy, którymi LZG powinny zająć się już od zaraz.

Stanisław Bodziakowski

Spuścizna Żeromskiego

(Ciąg dalszy ze str. 4)

ale nie dla autora, tylko dla zaplecza, które za nim stoi, które trzeba, we własnym interesie, zrozumieć.

Nie każdy Nobel jest absolutnym wyznacznikiem talentu.

Żeromski, jest to drzewo polskiego losu, o korzeniach bardzo głęboko idących w miąższ polskich tęsknot.

Ktoś powiedział, że jego bohaterowie — to stampy. Sądzę, że miał rację. Sienkiewicza bohaterowie — to też stampy.

Kiedy przeczytałem ponownie „Quo Vadis", podziwiałem, jak Petroniusz nakłada się na ks. Bogusława, Ursus na Rocha Winicjusz na Kmicica, Ligia na nijakie Sienkiewiczowskie stampy kobiece.

Ale Sienkiewiczowskie stampy, i stampy Żeromskiego, nie były tanizną. Będąc stampami w znaczeniu analizy psychologicznej, nie były bynajmniej szablonami, jeśli założymy, że jedynym bohaterem ich twórczości jest naród a jednostki — jakże różnokolorowymi składnikami jakże różnorakiego musu narodowego.

Podświadomość, która zwykle lepiej rozumuje niż świadomość, pouczyła mnie o walorach tych „stamp".

Kiedy przyjechałem na krótki pobyt do Polski po siedemnastoletniej rozłące, wślizgnąłem się do tej Polski nikogo nie uprzedzając, nie mając nawet zamówionego hotelu. Na pierwsze dni zaaranżowałem nie wizyty po ludziach, tylko spływ kajakowy. Uzasadniałem to sobie rozumowo chęcią zapoznania się z Polską oddolną — przez nocowanie po chałupach i nauczycielach szkół podstawowych.

Dobrze. Ale dlaczego — z tylu pamiętnych mi szlaków wodnych wybrałem ten jeden: spływ rozpocząłem na Wiernej Rzece, w miejscu, gdzie przez nią przechodził ranny powstaniec. A zakończyłem — w Obiegorku.

Oglądając te miejsca znajome z literatury o Żeromskim, ścieżki wydeptane przez małego Andrzeja Radka, myślałem jednocześnie o tych jakże głębokich, korzeniach, które trzymały jakże poszarpaną wichrami koronę twórczości.

Czy był w tym bezświadomym hołdzie tylko zachwyt moich bogobojnych prowincjonalnych kuzynek, śpiewną litewską mową zachwycających się Dewajtisem, głęboko wczepionym korzeniami?

Nie — był w tym i hołd późniejszego, bardziej świadomego pokolenia.

Ramiętam swój wstępniak w konspiracyjnie wydawanym piśmie przed pierwszą wojną, zatytułowany: „Niepodległość — celem czy środkiem?"

Naturalnie dla pokolenia legionowego była celem. Zapewne to zagadnienie wygląda współczesnemu czytelnikowi jak fragment talmudycznych roztrząsań na poddaszach akademickich.

A jednak — przez to hasło przełamywały się nasze młodzieżowe rozłamy, przez to hasło musieliśmy oddać w ręce „nieposzlakowanych niepodległościowców" — Zarzewiaków założone przez nas „Wici" i założyć swoje „Dla Polski".

Przecież przez to zawężenie wyrósł ruch piłsudczykowski, pozbawiony problematyki społecznej, ograniczający swoją ideologię do patriotyzmu bez definicji i do wierności „wodzowi".

I wówczas, w tych ostrych rozprawach, w tych mikrokosmosowych zamachach stanu, w tych, chwilowych, niepodawaniach rąk, w tych dziecinnych honorówkach, w tych gorzkościach zarzutów, do których może pchać tylko miłujące okrucieństwo młodości — któż nam przychodził z pomocą? Autor „Rozdziobią nas kruki wrony", autorytet naszej epoki, z którym trudno było walczyć.

Na tych, którzy miotali nam w twarz obelgi, uderzaliśmy taranem słów z „Róży":

„— Zarówno mi, czy mnie będzie prowadził do więzienia żołdak z dwugłowym czy białym orłem na kaszkiecie".

Jakoś tam Żeromskiemu, z jego literackim kredytem, puszczano płazem te słowa, ale nie nam.

Nadszedł jednak i dla Żeromskiego czas, kiedy ten kredyt musiał być poważniej wystawiony na próbę.

Żeromski, bożyszcze ruchu niepodległościowego, zwłaszcza młodzieży lewicowej (typu PPS — Piłsudski), kiedy wojna wybucha, w rozmowie w Zakopanem odcina się od akcji legionów. Akces do niej zgłosił i Sieroszewski i Strug i Daniłowski i inni lewicowi pisarze — ale nie Żeromski. To był cios bolesny — sztych w serce jego wielbicieli.

Wśród tych wielbicieli, pomimo ich lewicowych tendencji, była jednak również niezliczona ilość Kmiciców. Ci Kmicice jadą pierwszym patrolem ułańskim do Oblęgorka, stają przed frontem z bijącymi sercami — Sienkiewicz do nich nie wychodzi.

Powtarza się to, co i z Żeromskim: pisarz rezerwuje sobie członkostwo jakiegoś wyimaginowanego „Klubu Trzeciego Miejsca". Z tą potrzebą pisarską poczucia swobody ruchu w każdej chwili jest jak z siedzeniem na wyspie. Można z niej całe życie nie wyjeżdżać, jeśli ma się zapewniony paszport w świat i okręt. Kiedym siedział rok na Cyprze w czasie wojny, pośród „gości Jego Królewskiej Mości" mieszkających w luksusowych warunkach, poczęły się groźne psychozy, blahe honorówki. Kiedy nas wyewakuowano do Palestyny, na ląd stały, nie omknięty morzem, ci sami ludzie poczuli się lepiej.

Czy nie należy zastanowić się nad pisarstwem Żeromskiego, odrzucającego tę dziejową, po prostu, szansę dla pisarza?

Latami żyło to pokolenie jego tęsknotami. I nagle kiedy ułani Beliny, ci potencjalni Olbromscy (w legionach pełno było Rafałów), dźwięcząc ostrogami, spoglądając z młodzieńczym uwielbieniem spod czak, meldują mu się, że już nas nie będą dziobać kruki i wrony — nagle odwrócił się od własnej popularności?

A przecież pisarz jest zmęczony latami zmagań. Przecież powstaje w nim naturalna tęsknota za tym, o czym marzył nieuznawany Norwid: „Do bezsenności i do bez-myślenia, do tych, co mają tak za tak, nie za nie bez światłocienia — tęskno mi, Panie!..."

Ale istnieją granice dla tych tęsknot pisarskich. Zachodzi tu odwieczny nakaz rzetelnego pisarstwa: inwestować skapitalizowany kredyt. Jak dobry bankier jest nie ten, który gromadzi wkłady, tylko wkładami obraca, tak rzetelny pisarz jest ten, który nagromadzony kapitał zaufania uszczupla, inwestując go w budowanie w opinii nowych wartości. Inaczej, siedząc na górze naciułanej popularności, jest, powiedzmy, Makuszyńskim.

Niewątpliwie istnieje sposób inwestowania pisarskiego szkodliwy — kiedy pisarz chwalę pisarską uszczupla umniejszając ją na rzecz otrzymania dóbr materialnych. W wypadku Żeromskiego mówię o innej inwestycji. Inwestycji — pod prąd.

Ktoś tu powiedział, że Żeromski „nie miał huczków jak Sienkiewicz", którego Brzozowski anonsował jako „genialnego pana, patrzącego na świat przez rurę od barszczu", którego odbrązawiał Olgierd Górka.

Nie miał huczków — po „Przedwiośniu", które się kończy marszem na Belweder?

Współcześni jednak ukazaniu się „Przedwiośnia" (były to lata gloryfikacji zabójców Misji Czerwonego Krzyża, zabójcy Bagińskiego i Wieczorkiewicza, zabójcy Narutowicza) pamiętają

(Dokończenie na str. 6)

Saragossa. Widok ogólny. Okrzyk drugi od lewej, wznosi Cedro.

„Uczta" Madeja

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Na „Uczcie", pierwszej powieści Bogdana Madeja, znać ten sam duży kaliber ambicji pisarskich, który zadecydował o powodzeniu wśród krytyków debiutu nowelistycznego („Młodzi dorośli ludzie" — 1964) tegoż autora. Bohaterowie, wątki społeczne, psychologiczne i moralne „Uczty" krążą bowiem w orbicie „tematu wiejskiego", ten zaś z kolei stał się u nas od kilku lat obiektem inwazji młodych i właśnie ambitnych talentów prozatorskich, wyłamujących się zwycięsko z konwencji ideowo artystycznych, które przez bodaj pół wieku ustalił dla opowieści o polskiej wsi Reymont i jego „Chłopi". Ów programowy antykonwencjonalizm wiąże Madeja w tej materii dość spoiście z Bryllem, Kawalcem, Nowakiem, a ze starszej generacji — z Mortonem („Mój drugi ożenek"); różnice między ich książkami a „Ucztą" wykreśla nie tyle śmiałość ambicji, ile — też pewnie programowa — surowizna realizacji, o niej jednak za chwilę.

Akcja „Uczty" dzieje się na rzeszowskiej wsi i trwa dwadzieścia pięć lat, zaczyna się jeszcze przed kryzysem gospodarczym w międzywojennym dwudziestoleciu, kończy — w parę lat po drugiej wojnie światowej. Wyznaczone tym miejscem i czasem przesłanki, procesy, przemiany, społeczne i obyczajowe szkicuje Madej bardzo oszczędnie, momentami — skąpo, nie ulegając konsekwentnie w tym względzie pokusom szerszej, epickiej panoramy. Cała powieść jest bowiem w gruncie rzeczy portretem jednego człowieka, a wspomniane procesy społeczne i obyczajowe zarysowują jedynie tło tego portretu bardzo — jak wspominałem — oszczędnie i zwięźle. Portret Stanisława Grabskiego (szkicowany przez jego przyjaciela, nauczyciela z tej samej wsi) jest wizerunkiem tragicznym: Grabski przegrywa za każdym razem, kiedy próbuje zmienić orbitę swego, wyznaczonego przez przypisanie do ojcowskiej ziemi, losu, kiedy nie może dalej się kształcić, nie jest w stanie przenieść się ze wsi do miasta, wreszcie — i to jest chyba centralnym punktem jego tragedii — kiedy umiera mu jedyny syn, któremu chciał przygotować, ukształtować lepsze życie aniżeli los, który jemu samemu przypadł w udziale.

Jeśli Madejowi udało się z tych niewielu faktów, obrazów, ułożyć wcale obszerną powieść — to chyba głównie dlatego, że „Uczta" jest historią chłopskiego uporu. „Chłopski upór" — to stereotyp ciążący nad literaturą, czytelnikiem polskim bodaj od czasów „Placówki"; zasługą Madeja jest pozbawienie tego zjawiska płaskości właśnie stereotypu, schematu, uplastycznienie go i ożywienie — przynajmniej w pewnej mierze.

Mimo bowiem tematycznych ambicji, odczuwa się przy lekturze „Uczty" znamienny niedosyt, ową — sygnalizowaną już — surowiznę pisarskiej realizacji. Jest zresztą dosyć trudno dociec przyczyn tego wrażenia, Madej bowiem posiada i prezentuje w „Uczcie" w zasadzie wiele z tego, co zwykliśmy nazywać „sprawnością pióra", a więc i potoczystość narracji, i zmysłową plastykę opisu, i funkcjonalną zwartość kompozycji, i komunikatywny, wystrzegający się zbędnego „udziwniania" styl. Mimo to, a może — właśnie dlatego tragizm chłopskiego uporu, jakiego studium chce być „Uczta", zdaje się momentami zawisać w laboratoryjnej próżni, a wystrzegająca się skłonności epickich asceza pisarza wzmacnia raczej, aniżeli osłabia takie wrażenie. Jest rzeczą ciekawą, że te same odczucia towarzyszą lekturze innych utworów, przełamujących tradycyjną orbitę „tematu wiejskiego": w powieściach Kawalca, opowiadaniach Nowaka, może mniej w utworach Brylla wadzi również najdotkliwiej owa „laboratoryjność", eksper... forma literackiego studium, której brak jeszcze (nie zawsze słusznie wykpiwanego) „ucukrowania" treści, „uleżenia" środków artystycznego wyrazu.

Brak tego i Madejowi — nie brak mu za to (w czym spokrewnia się z bohaterem „Uczty") bardzo twardego w realizacji niepoślednich, pisarskich ambicji uporu. On właśnie — poza wszystkim innym — każe ciekawie oczekiwać trzeciej książki autora „Młodych dorosłych ludzi".

Bogdan Madej: Uczta. Warszawa 1965. PIW.

„Pestka" Kowalskiej

„Pestka", powieść związanej z Lublinem latami studiów i pierwszych prób literackich Anki Kowalskiej, zyskała niepośledni aplauz krytyków i — co chyba ciekawsze — czytelników; dowodem tego ostatniego jest drugie wydanie książki —.fakt, jak na debiut, dość u nas wyjątkowy. Przed próbą powieści Kowalska dała się poznać jako utalentowana poetka i wrażliwy krytyk; z jej wierszy przedostało się do „Pestki" silne, właściwe dla liryka, zaangażowanie w temat, w sprawy bohaterów, erudycja, oczytanie krytyka umożliwiła autorce z kolei wybieranie z różnych koncepcji ideowo artystycznych i konwencji literackich, jakie towarzyszą bardzo zasiedziałemu w nie tylko współczesnej literaturze pomysłowi „Pestki".

Fabuła powieści Kowalskiej jest bowiem w swych głównych zarysach problemowych tak stara jak literatura, a w każdym razie — jak małżeństwo. „Pestka" jest historią małżeńskiego „trójkąta", a raczej — „ich czworga", bowiem głównym partnerom dramatu towarzyszy jego narratorka, osoba bynajmniej nie obojętna ludziom i sprawom, które opisuje. Jej opowieść przybiera zresztą postać swoistego dialogu, którego partner (a zarazem partner i małżeństwa, i „tej trzeciej") milczy. Milczy — nie tylko z bólu po stracie Agaty, którą kochał „przeciwko" własnej żonie i samemu sobie. Jego milczenie wywołuje również zawiłe, zastarzałe poplątanie ludzkich spraw i człowieczych serc, które „Pestka" próbuje jakoś rozwikłać i na nowo, współcześnie, oświetlić.

Tu właśnie Kowalska stanęła przed koniecznością dokonania wyboru, adaptacji do polskiej współczesności, któregoś z nie tylko literackich wariantów „ich trojga". Polska współczesność przybrała w tej książce bardzo określone i — trudno zaprzeczyć — wąskie ramy społeczne, środowiskowe: rzecz dzieje się w kręgu (może raczej — w kółku) tzw. inteligencji twórczej, wśród plastyków, poetów, architektów, świat „dziejący się" poza ich zainteresowaniami zawodowymi i problemami życiowymi daje o sobie znać stosunkowo rzadko i z reguły — bardzo nieśmiało, jakimiś „okazyjnymi" realiami i sytuacjami. Stworzyło to dogodne warunki do zaszczepienia „Pestce" moralnej, obyczajowej problematyki, właściwej dla pewnego odłamu prozy zachodnioeuropejskiej, tworzonej przez pisarzy — katolików. Szczególnie Graham Greene wydaje się bliskim protektorem Kowalskiej, a jego „Sedno sprawy" (będące wszak — poza wszystkim innym — także „rzeczą o trójkącie") zdradza dość bliskie koneksje ideowe i filiacje artystyczne z „Pestką".

Nie chodzi tu bynajmniej o sztywne, kazuistyczne rozstrzyganie problemu wierności czy niewierności małżeńskiej; tego zresztą nie ma i w „Sednie sprawy". Podobieństwo polega na czym innym: autorce „Pestki" zależy również na dotarciu do rdzenia postaw moralnych, które jeśli nie determinują, to w każdym razie jakoś określają związki między kobietą a mężczyzną, zacieśniają, je, bądź rozluźniają. To, co dla Greene'a było także „sednem sprawy", dla Kowalskiej jest przede wszystkim „pestką", około której narastają bogate konflikty nie tylko moralnego autoramentu. W każdym razie — takie znaczenie sprawa Borysa, Agaty i Teresy ma dla „tej czwartej", dla narratorki powieści, Sabiny.

Czy jednak takież znaczenie ma ów kompleks spraw dla czytelnika książki, czy znajduje on w „Pestce" dostatecznie wiele materiału dla podjęcia żarliwej dyskusji moralnej, a przynajmniej — obyczajowej? Otóż wydaje się, że wątpliwości przy odpowiedzi na to pytanie powoduje nie tyle treść, fabuła „Pestki" ile jej forma, jej bardzo „rozlazła" kompozycja i gadatliwa stylistyka. W tym względzie Kowalska zdradziła bardzo klarowne i oszczędne rzemiosło pisarskie Greene'a, poszła raczej za wzorami, za schematami na oko ambitnej, w istocie — drugorzędnej powieści obyczajowej, tej mianowicie, która nie ufając realistycznej „nośności" fabuły rozwadnia ją i mąci nadmiernym i pokrętnie komponowanym komentarzem, „słowem" (a raczej wielosłowiem) od narratora". Można by powiedzieć, „a szkoda"!, gdyby nie optymistyczny przecież fakt, że „Pestka" jest dopiero pierwszą powieścią Anki Kowalskiej.

Anka Kowalska: „Pestka". Wyd. II. Warszawa 1965, Instytut Wydawniczy PAX.

Z nowej poezji hiszpańskiej

VIDAL DE NICOLAS

Dwór smutku

Już dziury mam w podeszwach tu i tam po więziennych kratach
krążę i serce bije każdej chwili za ścianą,
jak skąpiec liczę upływający czas: minuty, godziny,
dnie całe, miesiące i lata
(one mi dzwonią bezmyślnie, jak wycofane monety).
Poeta zamurowany — na każdym się kroku potykam
o las słów nieużywanych.
To ludzie,
ludzie wiary upartej, zaklinacze losu i cierpień,
przyjaciele i towarzysze, którzy tu przebywają ze mną
na wyciągnięcie ręki i odległość krótkiego spojrzenia.
Czasem pleśń wybucha z wilgotnych ścian na podwórze
i pamięć skazanych wypływa jak tonący statek,
ażeby przybić do portu snu i zarzucić kotwicę.
Podeszwy tu ścieram, mózg, serce, by zmusić do mówienia kamień,
tę rzeźbę samego siebie i głuchej zakrzepłej ciszy,
gdy przedwieczorne chmury oręż kują z wiatru i gradu,
powinienem zamknąć powieki pod biczem niepogody,
śmiać się powinienem na deszczu, wietrze, zawierusze,
przez zimę przejść po szyję na drugi brzeg cierpienia...
krok za krokiem ciągnę swój łańcuch po więziennych kwadratach,
czuję zimno, rdzę gniewu pod wytartą koszulą,
czuję jak bruzdę na bruździe troski na czoło mi kładą,
ociera się dzieciństwo dalekie o zmurszałe mury,
o więzienne chodniki krok się chłopięcy odbija
i drzewo pierwszych zachwyceń stuka o więzienne kraty.
Ścieram tu życie o kamień; kolana, zęby i pamięć,
a jednak spójrzcie, co za cud! —
ze mną tu mieszka nadzieja,
gorzki chleb ze mną dzieli i gdy wychodzimy na spacer,
idzie ze mną serce nienaruszone, jak dawniej.

MANUEL MONTERO

Walka byków

Wieśniak rozmawia z synem —
siedzieli na galeryjce w cyrku,
na słoneczku. Starszy powiada:
— Przypatrz się, zauważ,
jak się to robi
należycie.
Syn
spojrzał spłoszony, z tremą.
Byk po arenie krąży, wąchając
biodro torera w złotym kaftanie,
jak gdyby wiecznie kazano mu krążyć,
jak gdyby zrósł się z człowiekiem, jak obyczaj.
Ojciec, ojczyzna.
Stary się uśmiecha:
Wąs synowi się sypie... I myśli oto:
Skoro świt nie trzeba wstawać do roboty,
ręka takiemu nie uschnie u pługa
i czapki nie musi miętosić
w niedzielę przed progiem sąsiada.
Huczało wokół,
Wzbierała muzyka o zmierzchu,
jak róża żałobna i jak wino cierpkie.
...A chłopiec pomyślał:
Kiedy dorosnę, będę człowiekiem
dla rzeczy większych niż zabijanie,
dla rzeczy piękniejszych niż śmierć na rogach
zranionej ojczyzny.

Przełożył: **Arnold Słucki**

Spuścizna Żeromskiego

(Dokończenie ze str. 5)

ów „terroryzm nierozumu", o którym pisał Mochnacki: „Gatunek terroryzmu, — najstraszniejszy, najokropniejszy, jest terroryzm zawziętego w śmiesznym uprzedzeniu mniemania, terroryzm obskurantyzmu politycznego, terroryzm socjalnego nierozumu. Polska nie zginie brakiem obywatelstwa ni cnoty, nie zginie brakiem męstwa ani środków materialnych, ale zginie terroryzmem nierozumu".

Mógłbym cytować długi szereg ostracyzmów, któremu w ciągu wieków ulegali pisarze. I nie jest to prawda, że pisarz, pewny swej prawdy pomija te naganki wyniosłą obojętnością. Każda taka naganka wyrywa mu spod nóg nagromadzoną miłość czytelników, którą tak ceni.

Żeromski, pisarz, który żywił się falą powrotną od czytelników, zżywał się równie silnie, jak kiedy mu przyszło w rozmowach Zakopiańskich wziąć rozbrat z umiłowanym „komendanem" wcieleniem, jakże malowniczym, jego wizji, jego iście hamsunowskiego głodu za niepodległością.

Nie miał huczków?

A huczek o Dzieje grzechu"?

Ktoś tu, ktoś z miłośników tak kochających, że pragnie, aby na obiekcie jego miłości nie została ani jedna smużka niepotrzebnego brązownictwa, powiedział, że Żeromski „nie miał wizji świata".

Jeśli chciał przez to powiedzieć, że zagrzebał się tylko w cierpiętnictwo narodowe, to „Dzieje grzechu" są świadectwem buntu samego pisarza.

O cóż w jego całym pisarstwie — walce z rzeczywistością chodziło? — O wolność człowieka, o jego godność, o jego syty dzień, o jego oświatę.

Tyle tego ma pisarz przed sobą, że na wizje na temat: „a cóż to będzie z człowiekiem, kiedy to wszystko osiągnie?" — nie stać mu czasu.

A przecież rozumie, że sam człowiek, wyzwolony, nakarmiony, oświecony, nie przestanie być okrutną tajemnicą. Pisarza neci podświadomość człowieka. Pisarz wie, że to, co z człowieka widać na powierzchni, jest jak cypel wędrującej w oceanach góry lodowej: cztery piąte są pod wodą. Żeromskiego temat pasjonował. Wziął urlop z pisarstwa społecznikowskiego i napisał o Ewie Pobratymskiej. Urlopy takie, widzimy i obecnie: Od „Popiołu i diamentu" do „Skacze po górach".

Opinia nie takich już potępiała za niemoralność. Byli już za nią potępieni nawet tacy jak Korzeniowski i Kraszewski, nie uniknęli zarzutów niemoralności nawet poważni historycy jak Szajnocha. Szczytem perwersji był „Kult ciała" Srokowskiego.

A tu nagle — perwersje ze strzykawką, niezrozumiały powrót do Fochronia kobiety kochającej Łukasza, a zwłaszcza ten cnotliwy filantrop Bodzanta, opiekujący się Ewą bezinteresownie, który nagle zmienia się w satyra pod bodźcem wyznania o zbrodni (czyż nie podobny refleks jest u Ortiza Andrzejewskiego, kiedy poczuwa popęd do obojętniejącej mu kochanki posądziwszy ją o interesowność).

A cóż to był za wrzask...

A jednak — Żeromski nie przeinwestował się. Ostał się. Starczyło kapitału na tyle, że w jego jubileusz nie potrzebujemy odgrzebywać pisarza zapomnianego już wśród potomnych. Przeżył swoje apostazje przed wojną, powinien po wojnie przetrwać zmienione oblicze świata.

• • •

Dlaczego spuścizna Żeromskiego jest dla nas żywa?

Myślę, że łączy jego epokę i naszą wspólna tematyka: odgruzowanie człowieka.

W tematyce jego ponad wszystkim góruje przerażenie nie tyle niewolą, ile ciemnotą człowieka. Naturalnie, że ta ciemnota jest częściowo powodowana niewolą polityczną i ekonomiczną, ale aspekt walki z niewolą blednie wobec mrożącego porażenia, czym jest człowiek nie doprowadzony do stanu człowieczeństwa.

Żeromski odgruzował człowieka przywalonego ówczesnymi warunkami. Nowy gruz zawalił człowieczeństwo w latach, które po Żeromskim nastąpiły.

I kiedy robimy rachunek z dwudziestoleciem, widzimy, że mus odbudowy materialnej kazał polepszać w możliwie szybkim tempie materialne elementy odbudowy. Czy nie dbano o człowieka?

Ach, owszem — ileż pism, czytelni, bibliotek, teatrów, wczasów...

Ale ta walka, po swojemu, inaczej, odbywa się i w Ameryce. Tam metodami technokratycznymi, powierzchownymi. „American creed"!...

Po przybyciu do Polski mieszkałem w chałupie bez elektryczności i bez kanalizacji. Ale zachłystywałem się podziwem, kiedy miałem możność co tydzień obejrzeć na miejscu objazdowe kino z pierwszorzędnymi obrazami, kiedy w gminie byłem na przedstawieniu objazdowego teatru Ziemi Mazowieckiej itd., itd. Tak wiele się robi!

Tak się zmieniła wieś! Oto młoda gospodyni idzie na potańcówkę — wyondulowana, w modnej krynolince. Wychodząc, zapewnia mnie, że już ta suka nie będzie mi macić snu, bo ją, zabiera sąsiad chory na płuca, na co najlepszym lekarstwem jest psie sadło.

Następcy Żeromskiego uwijający się z wywiadami po radach narodowych i pegeerach dobrze by zrobili udzielając obok zachwytów miejsca przerażeniu Żeromskiego.

Odgruzowanie człowieka jest nie tylko warunkiem usprawnienia i powściągnięcia bumelanctwa, pijaństwa i wszystkich grzechów głównych. Jest ono warunkiem rozjarzenia specjalnych właściwości naszej kultury, będącej nie cegłą przedmurza, tylko deską w pomoście. To głębokie poczucie odrębności naszej kultury, jej zarazem elastyczności, jej akumulatywności, warunkuje to, czy będziemy, na miarę naszych sił, katalizatorem cywilizacyjnym w drodze do kultury uniwersalnej, do której idzie świat. Jest to jedyna racja istnienia i jedyna racja bytu.

Są na tym polu czynione zabiegi, ale ograniczające się do terapii objawowej.

Weźmy, dla przykładu, walkę z „szydercami". Armaty, które zatoczono dla obstrzału „Króla Ubu", strzelają po wróblach. Szyderstwo nie jest objawem sympatycznym, szyderstwem się wiele nie zbuduje, to prawda. Ale szyderstwem się wiele złej krwi upuści. Należy na nie patrzeć jak na przemijającą prawidłowość, jak na ropienie. Po cóż obcinać ropiejący palec, który by sam się wygoił.

Takim obcinaniem jest, przy słusznej obronie Somosierry i bohaterstwa, szmuglowanie zapewnień, że naród jest zrównoważony w swoich odruchach. Tymczasem — nieprawda: naród jest przygnieciony romantyzmem poszlacheckim, z którym trzeba walczyć. Przy okazji obstrzału „Króla Ubu" bombardować rezultaty trzeźwego myślenia, które wnosi awans społeczny mas, jest to dla doraźnych celów wbijania gwoździa zegarkiem do ściany. Owszem, gwóźdź można wbić w ten sposób. Gwóźdź wbić należy. Ale na to ma służyć młotek.

Nic tu żadne instrukcje, planowania, kursy nie pomogą.

Na to trzeba prostej, ale trudnej rzeczy — żaru Żeromskiego, który polił dusze nie tylko blaskami ale i rozterką.

Do pełni życia duchowego można iść przynaturzeniami, choćby to były krańcowości.

Taki mamy spadek po Żeromskim i taki spadek miał Żeromski po swoich wielkich poprzednikach.

Melchior Wańkowicz

Somosierra. Widok ogólny. Cedro szarżuje. Inni wyczekują, przyglądają się, nie angażują się. (Uwaga: dla celów strategicznych wąwóz poszerzono o ca 15 km).

Rzecz o metodzie czyli złe skutki pewnej suwerenności

KRZYSZTOF JANOWICZ

PODOBNO William Shakespeare zakochał się w pewnej przystojnej) aktorce (nomina sunt odiosa — nawet po latach nie należy kompromitować dam) i z tej miłości napisał „Romea i Julię". Napisał zaś właśnie pod przystojną aktorkę, z myślą, iż ona będzie kreować rolę Julii. Jeśli ta cała anegdota jest wyssana z palca, jeśli nie było żadnej przystojnej aktorki, jeśli Shakespeare był uosobieniem małżeńskiej wierności — to jednak moral tej anegdoty pozostał klarowny: są aktorzy, którzy zasługują na to, aby pisać dla nich dramaty. Zwyczaj ten nie był, oczywiście, powszechny, niemniej jednak tak drzewej bywało. Zarówno w czasie odległym jak i współczesnie.

Zgadzam się z góry z zarzutem, iż taki zwyczaj nie był i nie jest regułą. Regułą jest natomiast coś innego i teraz zbliżam się powoli do tzw. meritum sprawy.

Przypuśćmy, iż Jan Kowalski jest młodym obiecującym dramaturgiem. Jan Kowalski napisał wstrząsającą tragedię „Niżej niż dno". Znalazł się dyrektor teatru, który, wiedziony genialną intuicją i naglony sprawozdawczością („Ile sztuk współczesnych wystawił kierowany przez Obywatela teatr w bieżącym sezonie?"), puścił tragedię na deski swego teatru. Przypuśćmy dalej, iż w głównej roli zaprezentowała się publiczności znakomita aktorka Anastazja Malinowska-Kupściówna. Publiczność zna Malinowską-Kupściównę, nie ma natomiast zielonego pojęcia, kto zacz Jan Kowalski. A mimo to wali tłumnie do teatru. Następnie w rozmowach towarzyskich usłyszymy:

— Widziałem Malinowską-Kupściównę w tej ostatniej sztuce. Mówię wam, rewelacyjna.

Rewelacyjna jest Malinowska-K., a nie sztuka. Obiektywnie sztuka może być również rewelacyjna. Dla widza subiektywnie rewelacyjna jest Malinowska. Flirt z Melpomeną bowiem jest znacznie częściej flirtem z aktorem niż z autorem. C'est la vie.

To wszystko w znacznie większym stopniu (w nierównie znaczniejszym!) odnosi się do X Muzy, co prawda nie zarejestrowanej na Parnasie, niemniej jednak chyba najpopularniejszej (nie licząc XI — Telewizji). Nie widzialem, jako żywo, ani w kraju, ani za granicą afisza, który by reklamował wołowymi literami nazwisko scenarzysty. Reklamuje nazwiska aktorów i (trochę mniejszymi) reżysera. Widziałem w Londynie reklamę filmu z Brigitte Bardot(pod tytułem „Mademoiselle strip tease" he, he). Nazwisko francuskiej gwiazdy dewizowej wyeksponowane było neonami, przy których blednie reklama warszawskiego baru „Praha". Tytuł filmu był również niczego sobie (pod względem rozmiarów liter). I nic ponadto. Nazwisko scenarzysty było (już na afiszu) mniej więcej tych rozmiarów, jak nazwiska asystenta reżysera, kierowniczki pracowni krawieckiej i perukarza.

No dobrze, ale co z tego wynika? O, wynika rzecz zasadnicza. Ta mianowicie, iż ludzie chodzą do kina na określony film w dużej mierze **dla aktora.** Chodzą dlatego, ponieważ w jakimś np. westernie (ani lepszym, ani gorszym od innych) gra John Wayne albo Dean Martin. Chodzą dlatego, ponieważ w jakiejś komedii (również ani lepszej, ani gorszej od innych) gra Fernandel, Jack Lemon, Jacques Tati czy Toto. Chodzą na tragedię, albowiem gra w niej Olivier, na melodramat, albowiem gra w nim Michelle Morgun czy Ingrid Bergman.

Nie upraszczam bynajmniej sprawy. Wiem, że częstokroć chodzi się na film, o którym się coś słyszało, bądź przeczytało pochlebną recenzję (jakże zawodne w praktyce jest to drugie kryterium...). Zaryzykuję jednak twierdzenie, iż w większości wypadków magnesem są nazwiska. Nazwiska aktorów! Ale nie wszędzie tak się dzieje, o nie! Na ziemi Lechitów inne panują obyczaje.

U nas co film, to nowa twarz. Rzućmy okiem na filmy, które od bardzo niedawna są na ekranie, które się na ekranie niebawem ukażą, lub znajdują się w stanie realizacji.

„Popioły" Andrzeja Wajdy — adepci nieznani. Daniel Olbrychski, Zofia Saretok, Bogusław Kierc i inni absolwenci, lub też słuchacze PWST.

„Pusty obszar" Kazimierza Karabasza. Adepci — Irena Szczurowska i Marian Opania.

„Pieczone gołąbki" Tadeusza Chmielewskiego. W roli głównej Maria Zawadzka.

„Katastrofa" Sylwestra Chęcińskiego. W rolach głównych Marta Lipińska i Stanisław Niwiński.

W „Jutro Meksyk" — Joanna Szczerbic. W „Ktokolwiek wiedziałby o jej losie" (Kutza) — Edward Lubaszenko. W „Saragossie" (pamiętamy tę historię) wyszukano jakiegoś podrzędnego aktora francuskiego, którego dopiero później musiał zmienić Cybulski.

Lista najświeższa, a mimo to dosyć spora. Gdyby tak sięgnąć w dalszą przeszłość — włos zjeżyłby się na głowie. Jakie sąd wnioski?

Panuje u nas kult „jednodniowych gwiazd". Rzecz sama w sobie nie jest niczym zdrożnym. Należy wyłaniać nowe talenty, należy otwierać szeroko odrzwia dla młodych kadr. Każdy kiedyś zaczynał. Przeważnie jako nieopierzony adept, a nie doświadczony wyga czyli „rep". Chociaż zdarzało się, iż doświadczone, teatralne wygi poczuły w sobie w posuniętych już leciech wolę bożą dla filmu. Były to raczej jednak wyjątki. Zaczynali (jako nieopierzeni) Charlie Chaplin, Emil Jannings, Greta Garbo, Marlena Dietrich itd. itp. Sedno sprawy nie w tym tkwi. Nie w nawoływaniu do niedopuszczania młodych kadr, do utrzymywania elity, do tworzenia sitwy, zamkniętego klanu. Sedno sprawy tkwi w tym, iż te jednodniowe gwiazdy pozostają jednodniowymi.

Pola Raksa zadebiutowała w „Szatanie z siódmej klasy". Od tego czasu nakręciła sporo filmów. Można jednak na palcach policzyć takie kariery. Czyżewska, Tyszkiewicz. Dla reszty — raj kończy się na jednym filmie, czasami na dwóch. I znów pokazują się na firmamencie nowe gwiazdki. Zupełnie jak w piosence, tej od Sopotu czy Opola.

A tymczasem mamy całą, jak to się mówi, plejadę znakomitych aktorek i aktorów, którzy mogliby zabłysnąć w filmie jako autentyczne, a nie jednodniowe gwiazdy. Dlaczego (poza dwoma czy trzema wyjątkami) nie widzimy na ekranach Aleksandry Śląskiej? Nie widzimy Krafftówny, Mikołajskiej, Łapickiego, Gołasa, Pawlika, Kreczmara, Butkiewicza, Meresa, Gordon-Góreckiej, bardzo rzadko Łomnickiego, Glińskiego, za rzadko Czechowicza. Nazwiska można mnożyć ad infinitum. Czyli z — pewnymi wyjątkami — nie widzimy (lub widzimy raz na kilka lat) całej plejady najwybitniejszych polskich aktorów. Aktorów, którzy „zdają egzamin" nie tylko w teatrze, lecz również w telewizji, którzy posiadają wszystkie warunki ku temu, aby pojawić się w filmie.

Słowem nasza kinematografia kieruje się w tej dziedzinie kryteriami zgoła odmiennymi od kryteriów reszty świata. Świadczy to niewątpliwie o niezależności sądu, o oryginalności i śmiałości. Czy jednak ta „suwerenność" nie jest przypadkiem sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem?

Dawniej przed wiekami, to znaczy przed wojną, gdy ludzie szli na Dymszę, czy na Ćwiklińską, to wiedzieli, że będą rechotać. Gdy szli na Węgrzyna czy Junoszę Stępowskiego, to wiedzieli, że będą szlochać. Dzisiaj idą i nic nie wiedzą. Albowiem większość nazwisk nic im nie mówi. Czy im się ktoś zresztą spodoba, czy nie (spośród jednodniowych gwiazd), to też nie ma większego znaczenia. Można się bowiem założyć (dwa kartofle przeciwko naszyjnikowi z „Jablonexu"), iż więcej się z tymi nazwiskami nie spotkają...

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ W KW PZPR odbyła się narada aktywu kulturalnego z całego województwa, poświęcona działalności klubów na wsi. Zwracano m. in. uwagę na ich nieprawidłowe rozmieszczenie oraz na to, że w wielu klubach poza sprzedażą kawy i gazet oraz możliwością oglądania programu telewizyjnego nic więcej się nie dzieje. W naradzie wziął udział sekretarz KW PZPR Witold Mikulski.

◆ W konkursie literackim Wydziału Kultury Prez. WRN, WKZZ i białostockiej rozgłośni radiowej pierwszą nagrodę w dziale opowiadań otrzymał Edward Radliński za opowiadanie „Stryko Filip", drugą Tadeusz Sokół za „Powrót marnotrawnego".

◆ 20 niezwykle cennych fresków z cerkwi gotycko-bizantyjskiej w Supraślu zostało uratowanych. Pochodzą one z połowy XVI w., ich autorem jest artysta pochodzenia serbskiego. Są to unikalne w swoim rodzaju dzieła. Uratowano je z wysadzonej przez hitlerowców w powietrze cerkwi. Pracownia konserwacji malarstwa z Warszawy zakończyła ich odnawianie.

◆ Jedyną placówką kulturalną w Kolnie jest świetlica PSS. Najpierw współudział zadeklarował PZGS — ale gdy trzeba było płacić za remont i urządzenie lokalu, wycofał się. No i praca w świetlicy bardzo kuleje, ale sklepy PZGS z wódką zwiększają obroty.

◆ Amatorski zespół teatralny z PGR Boćwinka w pow. gołdapskim za osiągnięcia w pracy otrzymał nagrodę artystyczną Centralnej Komisji Koordynacyjnej.

KIELCE

◆ Nareszcie znalazły się pieniądze na remont i adaptację zamku w Sandomierzu. Dokumentację wykonuje zakład architektury Politechniki Warszawskiej. Na rok bież. przewiduje się limit 1 mln zł, całość robót będzie kosztowała ok. 12 mln zł.

◆ W województwie działa 436 klubów, ale ich lokalizacja jest bardzo nieprawidłowa. W pow. kieleckim, a więc w bezpośrednim sąsiedztwie miasta z dużą ilością placówek kulturalnych, są 43 kluby, a np. w powiecie pińczowskim tylko 18. No cóż — w Pińczowie dopiero dnieje...

◆ Nowym dyrygentem Orkiestry Symfonicznej w Radomiu został Jerzy Sikorski.

◆ Pracownia Konserwacji Zabytków w Krakowie po 2 latach pracy miała zakończyć remont i adaptację budynku dla muzeum Przypkowskich w Jedrzejowie. Jeżeli dotychczasowe tempo zostanie utrzymane, są nadzieje na 2 dalsze lata remontu. Dyr. Tadeusz Przypkowski, nie chcąc kompromitować nas wobec cudzoziemców, już dwie szeroko reklamowane w świecie wystawy urządził we własnym mieszkaniu.

◆ Codziennie jeden odczyt — oto wynik, osiągnięty (łącznie) przez świetlice powiatu jędrzejowskiego. Ponadto czynnych jest 12 uniwersytetów powszechnych, które mają 700 stałych słuchaczy.

◆ „Tam przebywał Lenin" — to tytuł wystawy malarskiej Włodzimierza Zakrzewskiego w Sandomierzu. Wystawa cieszyła się tak wielkim powodzeniem, że trzeba było przedłużyć ją o cały miesiąc.

LUBLIN

◆ Po wielu latach przyrzeczeń i obietnic odbudowa północnego skrzydła zabytkowego zamku w Lublinie chyba się zacznie. Sesja WRN uchwaliła pierwszą ratę dotacji. Wojew. Dom Kultury i muzeum otrzymają nareszcie — chociaż za kilka lat — tak bardzo im potrzebne lokale.

◆ Pracujące dotychczas odrębnie chór i zespół taneczny Wyższej Szkoły Rolniczej połączyły się. Nowy zespół pieśni i tańca wyjedzie zaraz po wakacyjnej przerwie na objazd miasteczek i wsi województwa białostockiego, kieleckiego i rzeszowskiego.

◆ W Chełmie otwarto pierwszy powiatowy salon wystaw artystycznych. Ekspozycje mają być zmieniane co miesiąc. Pawilon został nazwany imieniem artysty - malarza Zenona Waśniewskiego, współtwórcy i wieloletniego współpracownika przedwojennej „Kameny".

◆ W dzielnicy zachodniej Lublina odbyło się już chyba po raz 10 uroczyste otwarcie Dzielnicowego Domu Kultury. Kolejni gospodarze rezygnowali głównie z braku środków i zainteresowania mieszkańców, z których poważna większość to inteligencja pracująca. Tym razem działalnością będzie kierowała młodzież akademicka przy pomocy finansowej miasta.

◆ Na tegorocznym festiwalu amatorskich klubów filmowych w Opolu Śląskim nakręcony przez AKF Zamek przy WDK film „Annopol 1965" otrzymał II nagrodę. Film pokazuje dorobek "o- spodarczy i kulturalny Annopola, któ- ry m in. szczyci się kopalnią fosforytów.

RZESZÓW

◆ Stanisława Rylska od 16 lat jest artystką teatru im. Siemaszkowej w Rzeszowie. Ostatnio obchodziła 40-lecie pracy artystycznej — w tym czasie odtwarzała 100 postaci scenicznych. W 1945 r. była wśród tych, którzy ratowali przed zniszczeniem zabytki pałacu w Łańcucie.

◆ Konkurs zamknięty dla plastyków z 3 województw na projekt odznaki „Zasłużony dla województwa rzeszowskiego" wygrał Krzysztof Bukała z Rzeszowa, drugie nagrody otrzymali: K. Mierciński z Sędziszowa i A. Jakubowicz z Rzeszowa.

◆ W dniu premiery „Czarownej nocy" Sławomira Mrożka zespół teatralny z Dynowa otrzymał nagrodę artystyczną od Centralnej Komisji Koordynacyjnej.

◆ W wyniku uchwały Prezydium WRN od 1 stycznia powstało Biuro Dokumentacji Zabytków — pierwsza tego rodzaju placówka w kraju. Woj. rzeszowskie posiada 600 zabytkowych parków i drzewostanów, 2.167 zabytkowych obiektów nieruchomych oraz ok. 30 tys. zabytków ruchomych.

◆ Skromna początkowo wystawa w pałacu Mniszków w Dukli, obrazująca udział żołnierzy polskich, radzieckich i czeskich w walkach z hitlerowcami, staje się zaczątkiem muzeum wojennego. Jest już etat kierownika, kończy się przygotowanie odpowiednich pomieszczeń.

BALONIK

DANUTA BIENIASZKIEWICZ

COŚ się nie udało. Barwnik był stary, albo nieodpowiedni, albo guma po prostu nie taka jak trzeba. Zdarzyło się to po raz pierwszy w dziejach świątowego balonikarstwa i nikt nie wiedział, co z tym zrobić: baloniki były olbrzymie, kształtne, lekkie i lotne, ale — szare.

— Przecież nikt tego nie kupi!

— Owszem, kupi — powiedział pewien dziwny sprzedawca. Bo to był mądry sprzedawca i wiedział że w kolorowe karnawałowe noce nawet „szare koty" zmierzchu wydają się barwne jak confetti.

Sprzedał znacznie więcej niż inni. A to dlatego że inni mieli baloniki zwyczajne, a u niego można było zażądać malachitowych, ametystowych, baloników koloru wina czy fiołków — Mówił „proszę" i odrywał od grubego pnia kolejną szarą kulę...

Rano wszyscy zobaczyli prawdziwy kolor. Jedni pomyśleli, że oszukał ich nieuczciwy sprzedawca — i byli wściekli; inni, że to szarość powszedniego poranka odebrała balonikom barwę — i zrobiło im się bardzo smutno.

Dziwny sprzedawca miał już iść do domu z porostałym jednym balonikiem, kiedy stanął przed nim mały chłopczyk. Zwyczajny chłopczyk w zupełnie śmiesznej czapeczce z pomponikiem.

— Chce zielony — powiedział — duży. — Potem przypomniał sobie napomnienia rodziców i poprawił się: — Proszę zielony.

— Nie mam zielonego.

— Nie masz? A ten? — I mały pokazał palcem jedyny pozostały balon, chwiejący się na gruciance uwiązi.

— On... On nie jest zielony!

Chłopczyk roześmiał się, pompon podskoczył.

— Chcesz mnie oszukać? Przecież widzę, że duży, zielony. Ile kosztuje?

I z obawą popatrzył na sprzedawcę, bo coś mu się zdawało, że duży, zielony musi kosztować więcej, niż 20 groszy.

— Nic. Weź go sobie.

— Popatrz, mamo, jaki mam duży zielony balonik! Tatusiu — patrz

— Przecież on jest szary! — zawołali, zgodnie rozsądni rodzice.

— Zielony!

— Jaki zielony?

— Okropnie zielony!

Po godzinnej, męczącej awanturze kiedy to rozsądni rodzice wyczerpali wszystkie argumenty, żeby udowodnić dziecku pomyłkę — spłakany malec usnął ściskając mocno w rączce grucik balonika. Z ostatnim przydechem płaczu, już przez sen powiedział: „Zielony..."

Dorośli patrzyli na niego stojąc w drzwiach.

— Ten balonik — powiedziała matka — ten balonik, wiesz, tak jakby rzeczywiście był trochę zielonkawy...

Listy do KAMENY

Muzy o M. Knorr

Szanowny Panie Redaktorze!

W noworocznym numerze „Sztandaru Ludu" znaleźliśmy krótką relację z naszego spotkania poświęconego ocenie lubelskiej prasy.

Przedstawicielka „Sztandaru Ludu", ob. Mirosława Knorr, przybyła na to spotkanie z trzygodzinnym opóźnieniem; wówczas, kiedy po wszechstronnym przedyskutowaniu problematyki „Kameny" przeszłyśmy do krytycznej analizy „Kultury i Życia", tygodniowego dodatku „Sztandaru Ludu".

Zapewne na skutek przemęczenia p. Mirosława Knorr potraktowała nasze uwagi skierowane pod adresem „Kultury i Życia" jako spostrzeżenia na temat „Kameny". Trochę nas to zaskoczyło, gdyż słuchając np. Polihymni („Z nudów konam, strasznie wszystko unisono") lub Terpsychory („A taniec jakie tu nudy! Same ukłony i prysiudy") czy też Uranii („Faktycznie gwiazd mało widać") nikt nie mógł mieć wątpliwości, o czym w danej chwili mówiłyśmy.

Wydaje nam się, Panie Redaktorze, że nawet zamieszczenie relacji z naszego spotkania w „Szopce noworocznej" nie powinno zwalniać dziennikarki od rzetelnego informowania czytelników.

Klio, Erato, Euterpe, Kaliope, Urania, Melpomena, Polihymnia, Terpsychora, Talia

NAJLEPSZĄ FORMĄ

TERMINOWEGO OTRZYMYWANIA „KAMENY" JEST PRENUMERATA

Następny numer — 12 stron

Kamena

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół. Redaktor naczelny: Marek Adam Jaworski. Adres redakcji: Lublin, Graniczna 7, Telefon 2-34-49.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i RUCH. Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Zam. 4113. 21.XII.65. L-4.

Olbromski i książę Gintułt pod Sandomierzem. W dali zabytek.

Jak to dawniej w szopkach bywało

WITOLD ZECHENTER

WSPÓŁCZESNE szopki noworoczne przypominają mi wiele różnych szopek regionalnych i fakt, że przed laty niewielkie nawet miasta miały takie „szopkowe" ambicje. Zawsze w okresie gwiazdkowo-karnawałowym wystawiano takie „szopki", a często ukazywały się one nawet drukiem, stanowiąc z czasem „białe kruki" bibliofilskie.

Mam właśnie w bibliotece dwa takie ciekawe druczki, które z pewnością stanowią rzadkość i w niewielu przetrwały zbiorach czy bibliotekach, a które mogą zainteresować czytelników „Kameny" Są to ładnie drukowane broszurki — „Szopka hrubieszowska" z roku 1934 i „Szopka zamojska" z 1938.

Autorami pierwszej są: Maria Junowa, Wincenty Chrzanowski i Roman Tuszowski, drugiej Maria Junowa i Krzysztof Lipczyński. Tytułowa karta pierwszej z nich zawiera następującą treść:

„16 stycznia o 8.30 wieczorem wystawiona zostanie w Domu Społecznym SZOPKA HRUBIESZOWSKA czyli Misternie odrobione i cudnie gadające kukiełki, w których prawie wszyscy mieszkańcy naszego grodu łatwo poznać się będą mogli. A oprócz szopki parę sketchów oraz innych atrakcji w wykonaniu najwybitniejszych zagranicznych artystów miejscowego pochodzenia. Słowem: rozliczne uciechy, oklaski i śmiechy. Więc każdy niech bieży, gdyż to na Harcerzy.

Z tej tytułowej karty nie dowiedzielibyśmy się roku wydania szopki, gdyby nie to, że drukarska adnotacja wspomina: *Drukarnia Sejmiku Hrubieszowskiego 1934".* Broszurka zaś ukazała się „Nakładem Koła Przyjaciół Harcerzy w Hrubieszowie".

A oto kolejni bohaterowie szopki: *„p. Moroczyński, Pułkownik Takmentowski, pp. Bryndierostwo, Poseł Stanisław, p. Starosta, p. Witold, p. Brutus, Majorzy, p. Lafite, Dr Barbaszewski, p. Moroczyńska, Dolecki, Jędruszewski, p. Marychna, p. Inspektor, p. Zyndram, p. Nieświerski, Sz. T. Rancman, Rejent Mysiura, Rejent Zaradzki, p. Naczelnik Izby Skarbowej, Dr Drapiszewski, p. Wstańczyk, p. Breniuk, p. Toniemaszyński, p. Pawełkiewicz, p. Jaznopolski, Paweł ze Związku Ziemian, p. Sztajnenoren, J. S.".* Oczywiście tylko dawni mieszkańcy Hrubieszowa mogą przypomnieć sobie poszczególne nazwiska bądź określenia czy pod tytuł podstawić nazwisko. Chociaż więc nie jestem w stanie rozszyfrować postaci „Szopki hrubieszowskiej", sądzę, że jednak warto nawet z anonimowych postaci zacytować kilka drobnych fragmentów ich słów. Oto Pułkownik Takmentowski śpiewa na nutę „Umarł Maciek, umarł":

„Dziś być pułkownikiem, to nie lada gratka,
Ma się przecież laskę u samego Dziadka,
Jak tak dalej będzie dziać się,
Generałem można stać się.
Oj danaż moja dana, dana, dana!"

Poseł Stanisław tak przemawia:

„Niech każdy wie o tym i niech się tym przejmie,
Że jestem doktorem i posłuję w Sejmie,
Że parlamentarną ciężką orzę glebę
W pięknej instytucji, co się zowie B. B.
...Prawie codzień z samym Sławkiem się spotykam,
Klepie Świtalskiego i Prystora tykam.
Ale tę politykę — jak to pewnie wiecie —
Najlepiej się załatwia w sejmowym bufecie.
Tam to właśnie ku mojej i innych radości
Wymyśliłem podatek od elektryczności.
A kiedyś, gdym pieczyste popi al Chablisem,
Przyszło mi na myśl stanąć do walki z kryzysem
I stworzyłem ustawę, usiadłszy wygodniej,
Ażeby wam za długi nie ściągnięto spodni,
Ażeby was ratować z tej okropnej nędzy,
Kiedy już nawet posłom brakuje pieniędzy".

P. Starosta mówi wprost:

„Sza! Z zabarwieniem niech się nikt nie zdradza,
Najwyższa bowiem wkracza tutaj władza.
Tak jakbyś trumny został kryty wiekiem,
Jeśliś socjalem, lub gorzej — endekiem.
Jednym spojrzeniem na wskroś cię przeniknie
I twa kariera — gdyś nie z B. B. — tknie..."

P. Witold mówi:

„Z szerokiego świata do tej marnej dziury
Niosę wam, mamuty, kaganiec kultury,
W Adrii go zapalam, a podsycam w Handzie,
Tak uduchowiony błyszczę nim w tej grandzie.
Rozum mój nad poziom jaskrawo się wznosi,
Każdy też po radę i wskazówki leci.
Z figurami jestem „per ty" — każdy to wie,
Oni do mnie Witold ja do nich — panowie!..."

Paweł ze Związku Ziemian narzeka:

„Wszystko to nie chce pomieścić się w głowie,
Co to za czasy, szanowni panowie,
Człowiek się robi i chory i łysy
Przez te kryzysy.
Dziś najbogatszy nawet stoi licho
I pół złotówki do łapy ci wypcho,
Taki co codzień rozmieniał ze stówkę,
Da ci złotówkę".

Druga szopka — „Szopka zamojska" — prezentuje więcej nazwisk na kartach tytułowych. Jak wynika z drukarskiej „stopki", tłoczono ją *„w Drukarni Rady Powiatowej w Zamościu pod kierownictwem Z. Michalskiego w ilości 200 egzemplarzy: 150 na papierze bezdrzewnym i 50 numerowanych, w tym 20 egzemplarzy na papierze czerpanym. Składał Z. Sokołowski i J. Plewik, Tłoczył A. Kasprzak. Broszurował B. Gryszczuk."* A oto pełny tekst tytułowy:

„Startmuz — Studium Artyst.-Muzyczne przy Szkole Muzycznej w Zamościu — ma zaszczyt przedstawić SZOPKĘ ZAMOJSKĄ. Kierownictwo artystyczne: Halina Rogińska. Scenariusze: Maria Junowa, Krzysztof Lipczyński. Pictures: Julian Malinga, Leszek Szczepański. Dekoracje: Czesław Skarbek. Synchronizacja: Milena i Frank Rożynekowie. Nagrano systemem szmerowym w sali klubu „Rodziny Urzędniczej" w Zamościu dn. 8 maja 1938 r. Wykonawcy: Tadeusz Curyllo, Helena Greszcianka, Krzysztof Lipczyński, Milena Rożynekowa, Janusz Wolucki".

Dochód — jak stwierdza odnośna notatka — przeznaczono na LOPP. A oto spis osób występujących w szopce: *„Profesor Śpieszko, Kasztelanowa, Siegfried van Kruzoe, Dyrektor Szczepowski. Inspektor Szczerbaniec, Dr Fiat Koziołkowska, Sędzia Koziorożec, Sędzia Piórko, Lipa-Korwiński, k. o. Ziowski prezes, Kasztelan, Że jaki? Ze- Wuski, Ryngler-Pierścieniowicz, Władysław Laskonogi, Generał All-Right, Płk S-O-S-Abowski, Dzibdziulek, Płk. Rozszalewicz, Mecenas Uszak, Prezes Podkowerski, D-rowa Ubogucka, A Kuku Klewicz, Ajwazowski, Dyr Rosen-Eck, You-Nowa, Prof. Obermiller, Mistrz Nienamyślowski, Dr Niekoniecznikoff, Mecenas Henryczek Bezwzględnie, Wice-hrabia Hocki-Klocki".*

Jak i w poprzedniej szopce, trudno rozszyfrować nazwiska i określenia z wyjątkiem kilku tak przejrzystych jak np. Mistrz Nienamyślowski — kierownik słynnej kapeli ludowej — który śpiewa:

„Cwir, ćwir, ćwir za kominem,
Jestem mazurzysty synem
I sam jestem oczywista
Arcymistrz i mazurzysta.
Medale, Ameryka, w sukmanach ma muzyka,
Już w historii pozostanie ma podróż po oceanie.
...Zaczęła się psuć wena,
gdym w sukmanach grał Szopena
I pierwsza publiczność cała trochę mi zastrajkowała..."

Śpiewający na nutę *„Łąko, łąko, zielona"* „Szczepowski" — to poeta Adam Szczerbowski:

„Łąko, łąko, łąko Leśmiana!
Kto twe kwiatki będzie zrywał,
gdy w domino będę grywał,
łąko, łąko, łąko Leśmiana!
Szoso, drogo, szoso Zamojska,
kto cię dojrzy w twej urodzie,
gdym ja w „Zamkniętym ogrodzie",
szoso szoso, szoso Zamojska!
Ziemio, ziemio, ziemio przyziemna!
dotykam cię z wstrętu gestem,
Bo „Anielski pałnik" jestem,
ziemio, ziemio, ziemio przyziemna:
Wiersze, wiersze nienapisane!
Kto was z niebytu powoła,
gdy mi czas odbiera szkoła,
wiersze, wiersze nienapisane!"

A oto zwrotka z występu Mecenasa Henryczka Bezwzględnie:

„Prócz ludzi — kocham książki,
bo jestem bibliofil,
Prócz książek kocham Zamoście
i jestem mu wierny,
Znam dobrze jego en face,
en trois quarts i profil,
Jego wdzięk, jego piękno
powab niezmierny.
Ludzie, książki i Zamość —
to miłość ma czysta,
W duszy mej w każdym calu
jestem humanistą
I często w wolnych chwilach
rozmyślam na stronie:
Czy Hetman Jan Zamojski byłby dziś w Ozonie.

Zamieszczając fragmenty szopek przy tej okazji chciałbym też powiedzieć kilka słów o jednym z autorów *„Szopki hrubieszowskiej"*, moim sprzed lat wielkim przyjacielu, dawno już, od czasów okupacji nieżyjącym Romanie Tuszowskim. Sądzę, że warto jakoś przypomnieć tego zmarłego pisarza, przypomnieć może to, co stworzył, a może i zająć się rękopisami, jeżeli jakieś jeszcze można by znaleźć w jego rodzinie.

Romka Tuszowskiego poznałem w latach mych studiów uniwersyteckich w Krakowie, w połowie lat dwudziestych. Należał wtedy — jak i ja — do związku młodych poetów *„Helion"*, następnie zamienionego na *„Litart"* — to koło literackiej młodzieży akademickiej organizowało w latach dwudziestych i trzydziestych całe młode życie literackie w Krakowie, a także w latach 1926—27 wydawało dwutygodnik *„Gazetę Literacką"*, którego redaktorem był Jerzy Braun, a naczelnym publicystą Adam Polewka. Tuszowski studiował na UJ, przebywał pewien czas za granicą, a potem zaszył się w niewielkim, jak się zdaje, mająteczku rodzinnym w pow. hrubieszowskim. Pisywał on refleksyjne, ciekawe wiersze, które drukował w prasie krakowskiej, a przede wszystkim mistrzowskie przekłady z poezji francuskiej, którą, jak i język — znał wyśmienicie. Wydał też na kilka lat przed wojną w „Roju" interesującą powieść „Upały", która miała wiele doskonałych ocen.

NOTY

W PIERWSZY dzień po świętach telewizja uraczyła nas koszmarną telewitrynką. Reklamowano Centralny Dom Towarowy w Warszawie. Po takiej „reklamie" popularny „Cedet" będziemy omijać na kilometr! Program przygotowała tzw. „samodzielna redakcja programów zleconych". Towarzyszu Sokorski, uchrońcie nas od takich „samodzielnych redakcji", albo nakażcie podawanie na szklanym ekranie nazwisk czcigodnych redaktorów. Niech się cała Polska śmieje... płacząc!

PANI IRENA spotkała się w pierwszy dzień świąt z pp. Pachem i Suzinem. Spotkanie byłoby milsze, gdyby pan Pach dbał bardziej o mowę ojczystą. „Za wyjątkiem", „okrągła rocznica"... Czyżby i spikerzy telewizyjni mieli chwilami tremę?

„KURIER LUBELSKI" doniósł, że policja amerykańska nakryła członków gangu, który torturował ludzi na ich własne życzenia za „skromną opłatą" 50 dolarów. Należy się dziwić, że członkowie gangu zostali aresztowani. Sądziliśmy raczej, że wcieli się ich do armii i wyśle do Południowego Wietnamu.

MAJ

Odpowiedzi Redakcji

J. R. w Gliwicach. Cytujemy Pana wiersz bez tytułu: „Siedział belfer na krześle pod okiem i głośno wyjaśniał nam temat o tym, że w zimie śnieg pada a wiosną kwitną drzewa. Myśmy w belfra wpatrzeni mądrą robili minę myśląc — czy ona małe kocha czy on mnie zdradza z inną. I lekcja trwała nadal pośród przejmującej ciszy, bo belfer zaczął wyjaśniać że... tylko miłość się liczy. Dyskusja wybuchła tak nagle, iż zrobił się tumult i wrzawa, bo każdego z tych uczniów dręczyła jakaś silna sprawa. Wyjaśniał więc uczeń jak umiał, co dręczy go i boli, że kocha i cierpi ale zerwać się boi. Belfer pocieszał swych uczniów, dobre rady im dawał, że czas rany miłości zagoi, że życie tego wymaga". Czas nie tylko goi rany miłości. Z czasem przestanie Pan również pisać wiersze...

W. B. w Zamościu. W „Porównaniu" kilka ładnych metafor, ale na debiut jeszcze za wcześnie.

C. M. w Kaliszczanach. Fragment Pana wiersza: „Bryło czarnego węgla, najczulsza kochanko podczas zimowego wieczoru"... Niezupełnie podzielamy ten pogląd.

K. S. w Białymstoku. Pisze Pan załączając kilka wierszy: „Proszę mi nie mówić, że nie warto pisać, ja pisać będę". Niech Pan pisze, ale z nadesłanych utworów żaden nie nadaje się do druku. Gdyby te wiersze powstały 80 lat temu, może opinia byłaby inna. Dziękujemy za życzenia noworoczne.

A. K. w Łodzi. Zatrzymujemy wiersz zaczynający się od słów: „Nie bój się". Czy to byłby debiut? Prosimy o podanie adresu.

M. S. w Bytomiu. Może coś wybierzemy na debiut, ale prosimy się ujawnić.

S. J. Z. w Lublinie. Pyta Pan: „Czy moje wiersze mają jakąś wartość — dużą, małą czy żadną?" Odpowiemy krótko — mają. Wiersz poświęcony matce stosunkowo najlepszy. Ma Pan jednak dopiero 17 lat, prosimy więc nie tracić nadziei!

J. G. w Biłgoraju. Fragment Pana opowiadania pt. „Zbieg": „Star" posłuszny woli kierowcy wykręca zygzaki na szosie. Dwie jasne smugi reflektorów torują mu drogę. Brutalnie wdzierają się w ciemną przestrzeń! Tną ją niczym ostrzem ognistym. Macki świetlne z natarczywą ciekawością muskają jezdnię i czubki drzew. Rabek nocnej tajemnicy zostaje na chwilę uchylony. Znokautowaną ciemność". Opowiadanie również. Przez Pana.

G. G. w Lublinie. Po Pani uwagach skierowanych do redakcji odpowiedzieliśmy listem adresując: „Krzywa 19". Zwrócono nam list z adnotacją: „Adresat nieznany". Podała Pani fikcyjny adres?

„Luszt", Pana fraszka: „Woli za chałupą spotykać się z lubą — niżli w „kawiarni - kiubo". Pozostawmy zakochanym chociaż prawo wyboru miejsca spotkań!

F. P. w Krakowie. Przykro nam, że nie możemy Panu sprawić „prawdziwej przyjemności". Chyba, że zadowoli Pana druk fraszki pt. **„Możliwość"** w tej rubryce: „Bez zmiany stanu — drogie panie — w odmiennym można chodzić stanie". W imieniu pań dziękujemy za ostrzeżenie. A poważnie: fraszki słabe.

Z. D. w Białymstoku. Proponuje Pan kilka tematów, a potem pisze: „Mógłbym, oczywiście, napisać o czymkolwiek i przysłać Panu, aby mógł się Pan zorientować w moich możliwościach. Nie zrobię tego jednak, ponieważ zupełnie nie umiem pisać sobie a muzom czy wyłącznie na użytek własnej szuflady. Jestem człowiekiem praktycznym — to, co napisane, lubię oglądać wydrukowane, a równocześnie zarozumiałym — to, co napisałem, na pewno nadaje się do druku". Straszne nie lubimy zarozumiałych autorów. Dla Pana gotowi jesteśmy uczynić wyjątek, ale prosimy pamiętać, że i my jesteśmy ludźmi praktycznymi!

* * *

Uwaga! Otrzymujemy coraz więcej wierszy od autorów, zwłaszcza początkujących, z całej Polski. Jeszcze raz podkreślamy, że dzisiejsza „Kamena" nie jest pismem poetyckim, aczkolwiek i tak wiele wierszy ukazuje się na jej łamach. Niemniej trudno nam odpowiedzieć (personel redakcyjny jest bardzo mały) nawet w tej rubryce na każdy list. W związku z tym komunikujemy, że brak odpowiedzi w ciągu trzech miesięcy od chwili nadesłania utworów oznacza, iż redakcja z nich nie skorzysta. Przepraszamy!

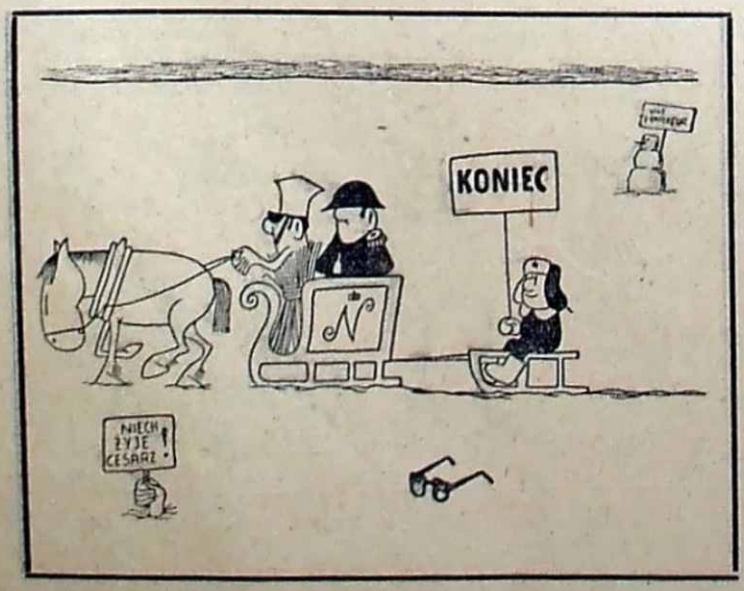

Najlepszy szczeciński dowcip roku

(znaleźliśmy go w noworocznym „Głosie Szczecińskim"):

Do klubu-kawiarni przychodzi chłop i mówi:

„Niech będzie pochwalony. Poproszę o „szatana".

Książki ze strychu

W naszej rubryce nie sposób pominąć twórczości popularnego w latach dwudziestych autora — Pawła Staśki. Spośród wielu jego utworów (dorobek twórczy Staśki to: 12 powieści, jedna tragedia wierszem w trzech aktach, trzy tomy nowel), prezentujemy nowelę „Odaliska".

Paweł Staśko

ODALISKA

Snuła się baśń zmierzchu i ciszy... Czuło się zewsząd aromatyczne wachlowanie miłego chłodu, względnie świeżości roślinnego królestwa, które perliła szczodrze ożywcza rosa. Djamentowa jej rozpyl wilżyła liście i kwiaty, rozsiewała się w powietrzu, wszędzie, nie pomijając najskrytszego zakątka przyrody skwarem dnia uznojonej i omdlałej w uściskach szalejącego z miłości słońca.

Przez cały dzień tarzał się z nią ten bezpamiętny słoneczny kochanek, piekł usta żarem namiętnych pocałunków, zda się do sił ostatka, do oszołomień spazmatycznych i ostatniego tchu, dopóki wreszcie nieubezwładziło ich ciężkie omdlenie i nie rzuciło w ciszę spalonych zmysłów.

A kiedy odszedł od niej krwawy od nieprzytomnych pieszczot, gdy uszedł z bezczujnych objęć kochanki w upalnym śnie leżącej, wtedy jakby skruszony i żałujący czynu — posłał jej swoje hoginie-służki z czarami wonnych, krynicznych eliksirów, z trybularzami rosy i zmierzchu, by przed oczyma gwiazd skryć jej nagie ciało w onem misterium przytomniejące...

Tymczasem, do starego, fatwickiego parku wkroczył młody człowiek, który...

...fabrykę zamierzał tu urządzić i właśnie postanowienie swoje zmieniał w czyn... w jednem skrzydle pałacu młyn motorowy o nowoczesnem urządzeniu, w dalszych ubikacjach fabrykę mydła i różnego rodzaju pasty.

Wraz z pięknym pałacem — przyszłą fabryką mydła — zakupił Lechoń (sic!) posąg pięknej odaliski stojący w pałacowym parku. Staje się on wkrótce przedmiotem admiracji nowoczesnego kapitalisty. Nocami, po całodziennej wytężonej pracy Lechoń gryzmoli kamiennej dziewczynie serenady na gitarze.

...Miesiąc stał blaski na jego posąg leżącą, ostrebrzał twarz o typie rodowitego Anglika, czerstwą i pełną mocy, poważną w wieku pełnego rozkwitnięcia — to usta zaciśnięte, dziś po raz pierwszy chłonące pocałunek kobiecych warg, warg marmurowych — i ręce jego spracowane, wcale podobne rękom doktora filozofii, raczej mydlarza...

Jednak pewnej nocy dostrzega Lechoń jakąś tajemniczą postać dziewczęcą, która podobnie jak on oddaje hołd odalisce. Lechonia, — który dotychczas był zdeklarowanym wrogiem kobiet — zaczynają nawiedzać marzenia profeministyczne.

...Pierwszy raz... pomyślał na serio o kobiecie. Pierwszy raz dojrzał ogromną lukę w łańcuchu swego życia, niesamowitą pustkę.

Lechoń usiłuje się bronić.

— Szał mi się chyba chwyta! — syknął przez zęby. Co mię to wszystko obchodzi, po co ta męka? Jam się do tego stopnia dał opanować — ja?! Doprawdy wstyd! Jakbym był żakiem. Uf! — chwycił się rękami za głowę. Łamała ją zajadła boleść. — Pal diabli taką noc. Niesłychana inwazja jakiegoś głupiego sentymentu... Tyżeś to, ty Lechoniu?

Obrona jest jednak daremna. Znękany bohater dochodzi do wniosku że:

Kobieta... Jedno, a tak olbrzymie w treści słowo! Lechoń stanął oko w oko nie wyrazowi, ale istocie jego i substancji, odgrywającej jedną z pierwszych ról w życiu, w magnetycznej aureoli niepojętego fatum. Z przytomnością, jak nigdy dotąd odnalazł w sobie tajemne nici łączące go z kobietą...

Lechoń postanawia za wszelką cenę odnaleźć tajemniczą wielbicielkę odaliski, w związku z czym urządza w pobliżu posągu zasadzkę. Pewnej nocy księżycowej, dziewczyna przybywa. Lechoń ukazuje się dziewczynie. Ta spogląda na niego. Nagle gorąca miłość zakwita w ich sercach.

...Ciekawy księżyc podpatrzywszy do ostatka tę romantyczną scenę, nachylił się ku najbliższej z gwiazd, szepcząc jej nad uchem:

— „Kochał się w martwej, marmurowej kobiecie, zranił ją w szale, a ona w zamian dała mu... żonę. Ciekawe rzeczy dzieją się tam na ziemi... he!... he...!".